

# Bronisław Malinowski,

## *Dziennik 1914*



Witkacy, *Pejzaż nocny*, 1922 rok. Pastel.

Ilustracja za: Anna Micińska, *Witkacy. Życie i twórczość*, Warszawa 1985

### Wstęp

Jest rok 1914, Wielkanoc. Bronisław Malinowski z Matką przebywa na wyspie Wight, gdzie kończy pracę nad jedyną (jak się później okazało) napisaną przez siebie książką po polsku. Zatytułował ją *Wierzenia pierwotne i formy ustroju społecznego. Pogląd na genezę religii ze szczególnym uwzględnieniem totemizmu*. Miała być ona podstawą jego przyszłej habilitacji na Uniwersytecie Jagiellońskim. Impulsem do jej napisania stało się, wydane w 1910 r., dzieło J.G. Frazera, *Totemism and Exogamy*, gruntownie przez Malinowskiego skrytykowane w cyklu artykułów opublikowanych w „Ludzie”. Rozszerzenie trzeciej jego części stało się podstawą książki. Jak autor pisał w przedmowie: „Praca niniejsza nie jest zupełnie jednolita. Z jednej strony zawiera ona opracowanie dość specjalnego zagadnienia, które samo przez się nie będzie zapewne zajmowało nikogo spoza ciasnego i u nas bardzo nielicznego koła etnologów. Z drugiej strony naszkicowana tu została w bardzo ogólnych zarysach teoria powstania religii, temat mogący zainteresować znacznie szersze koła i posiadający niewątpliwie głębsze znaczenie”<sup>1</sup>, a kończy przedmowę podziękowaniami dla swoich przyjaciół: S.I. Witkiewicza i A. Zaleskiego „za pomoc i rady, których mi udzielili, czytając i krytykując części manuskryptu. Londyn, kwiecień 1914”<sup>2</sup> Malinowski przekazał manuskrypt Akademii Umiejętności podczas swego pożegnalnego pobytu w kraju. Sprawą zajął się, na prośbę autora, prof. Stanisław Estreicher i książka wyszła drukiem w 1915 roku.<sup>3</sup>

W drugiej połowie kwietnia 1914 wraca do Londynu, do zwykłych zajęć w London School of Economics and Political Science i coraz bardziej gorączkowych przygotowań do wyjazdu „w tropiki”. Uczestniczy w seminariach G.C. Seligmana i E. Westermarcka, spotyka się z nimi także prywatnie. Szczególną rolę odgrywa Seligman, który był pomysłodawcą i organizatorem całego przedsięwzięcia. Jemu właśnie zadedykował Malinowski *Argonautów Zachodniego Pacyfiku* i na wstępie tej książki pisał: „Od niego wyszła inicjatywa mojego wyjazdu w teren i zawdzięczam mu więcej niż jestem w stanie wyrazić, dziękuję za nieustanną zachętę i liczne naukowe rady i wskazówki, którymi tak szczerze mnie obdarzał przez cały czas mojej pracy na Nowej Gwinei. (...) Profesor Seligman (...) pomagał mi w uzyskiwaniu wszystkich (...) stypendiów, a sam przeznaczył 100 funtów na koszty ekspedycji i zaopatrzył mnie w aparat fotograficzny, fonograf, instrumenty antropometryczne oraz inne przybory użyteczne w pracy etnografa”.

Pod koniec kwietnia wyjeżdża przez Berlin do Polski. Odwiedza Warszawę, Kraków i Zakopane. Spotyka się z rodziną, znajomymi, załatwia różne sprawy. 9 maja jest już z powrotem w Londynie.

Jednak wszystkie wydarzenia, poprzedzające tę tak brzemionną w skutkach wyprawę, wydają się być przytłumione i zepchnięte na dalszy plan przez kobietę, a raczej przez rozpaczliwe próby Malinowskiego „odkochania się” w kobiecie. Młody uczoney pozostawał pod wielkim urokiem pewnej damy, z którego wszelkimi siłami starał się wyzwolić, zdając sobie sprawę z braku perspektyw ich związku. Kobieta tą była Otolia Retingerowa, piękna żona Józefa Retingera, młodego działacza politycznego i publicysty. Oboje pochodzili z Krakowa: Otolia z majątku Goszcza pod Słomnikami, a Józef był synem cenionego

adwokata krakowskiego. Od 1912 mieszkali w Londynie, z misją dyplomatyczną budzenia sympatii dla polskich aspiracji niepodległościowych. Przyjaźnili się z Josephem Conradem i spowodowali jego przyjazd do Polski tuż przed wybuchem I wojny światowej.<sup>4</sup> Maria Dąbrowska wspominała ich oboje następująco: „Józef Retinger, czarniawy, szczupły, niezwykle interesujący towarzysz człowiek ‘wszystkowiedzący’, trochę tajemniczy, cokolwiek może właśnie ‘Conradyczny’, na pewno człowiek przygody, miał się niebawem odznaczyć niezwykłą skłonnością do skrajnych ‘przełomów’ światopoglądowych (...) Wówczas reprezentował w Londynie ideologię Narodowej Demokracji, a więc różnice naszych poglądów były ogromne. (...) Poznaliśmy także jego ówczesną żonę, osobę prześlicznej urody, z domu Chrzanowską z Goszczy (...) Miała w sobie niewysłowiony urok jakby właśnie Conradowskich postaci kobiecych; w ‘polskim’ Londynie plotkowano, że Conrad był pod jej urokiem i że temu między innymi należy zawdzięczać jego decyzję podróży do Polski”.<sup>5</sup> Nie jeden Malinowski był zatem pod wpływem tej pięknej damy. To ona właśnie poznała obu panów w 1913 roku, gdy odwiedziła Capel House Conrada z młodym antropologiem, który ofiarował pisarzowi egzemplarz swej nowowydanej książki *The Family among Australian Aborigines*.<sup>6</sup> Reminiscencje tej wizyty pojawiają się w dzienniku Malinowskiego, ale przytłumione wspomnieniami stosunku do t, pod którym to znakiem zaszyfrował na Toškę Retingerową. Jednak wyraźne jest zainteresowanie twórczością Conrada, o której wypowiada się w superlatywach.

Była jeszcze jedna sprawa, która odegrała istotną rolę w planowanej podróży naszego bohatera. Dotyczyła ona jego najlepszego przyjaciela, jakim był wtedy jeszcze Staś Witkiewicz. Otóż w lutym 1914 pisał on do Londynu: „Kochany Broniu: Spotkało mnie najstraszniejsze nieszczęście, jakie być może. Nieszczęsna panna Jadwiga popełniła samobójstwo. Wiele było w tym, co zaszło od początku tego roku, mojej winy. Czułem się b. źle, ona brała to do siebie i wynikły stąd rzeczy, które przy fatalnym zbiegu okoliczności doprowadziły Ją do tego. Gdyby nie Matka, już bym dawno nie żył. Straszna odpowiedzialność biorąc ci, którzy żyć każą mimo zupełnej niemożności życia. Jestem człowiek złamany kompletnie. Dla Niej tylko coś robiłem w sztuce czując się niepotrzebnym. Jestem, o ile mi się zdaje, zupełnie skończony jako artysta. Ale póki Matka żyje, żyć muszę i mam obowiązek być z Nią i zdać sprawę z tego okresu życia i postanowiłem przez gwałt pracować, jak przez gwałt żyję. Mogłem Ją zatrzymać nad brzegiem przepaści i nie zrobiłem tego. Ten wyrzut mnie zabija, a oprócz tego jestem sam i czuję się opuszczony przez wszystko. (...) Jesteś dla mnie jedynym punktem jasnym w świecie oprócz Rodziców.”<sup>7</sup> Przyczyny samobójczej śmierci Jadwigi Janczewskiej są dosyć enigmatyczne. Sam Witkacy winił później o jakiś w tym udział Karola Szymanowskiego. Ale z drugiej strony wiadomo, że utrzymywał, mimo narzeczeństwa, stosunki ze swą byłą kochanką Ireną Solską, a także z przyjaciółką Heleną Czerwijowską. Jaką w tym rolę odgrywał Szymanowski? Może po prostu poinformował o tym pannę Jadwigę? Jakie by nie były powody tej śmierci, miała ona na Witkacego wpływ katastrofalny. Przyjaciółka obu, Eugenia Dunin-Borowska, wspominała: „Staś był wtedy piękny jak młody bóg (...) To tylko matka uratowała go wysyłając go do Australii z przyjacielem młodości, głośnym już wtedy uczonym angielskim (...) Bronisławem Malinowskim”.<sup>8</sup>

Takie więc były powody słynnej Witkacego podróży w tropiki. Nie trwała ona zresztą zbyt długo, przerwana wybuchem wojny światowej, kłótnią obu przyjaciół i zupełnym już rozminięciem się ich dróg życiowych. Wyruszała jeszcze jako Staś i Bronio, obaj w nienajlepszych humorach, obawiając się tej podróży, ale mając nadzieję, że im ona pomoże, wzmocni duchowo, natchnie do pracy. Stało się jednak inaczej. Dla pierwszego był to tylko epizod nieco bezsensowny i absurdalny, dla drugiego stanowiąc przełomowy okres w karierze naukowej.

Malinowski nie jest jeszcze tutaj antropologiem jakiego znamy z kart *Argonautów Zachodniego Pacyfiku*. Jest raczej podróżnikiem patrzącym na inną kulturę i krajobraz jak na coś co ma być atrakcyjne. Sam pisze o charakteryzującej go ‘apercepcji ignoranta’. Jest to perspektywa turysty, który przygląda się z zaciekawieniem ale i zniecierpliwieniem ludowemu buddyzmowi na Ceylonie i porównuje go do „tandetnego katolicyzmu południowych Włoch”. Jeszcze stąd bardzo daleko do analizy „from the native’s point of view”.

\*\*\*

Opracowanie tej części dziennika nastroczało szereg problemów, ze względu na dużą ilość nazw geograficznych, miejsc, ulic, sklepów a także nazwisk osób, skrótów i inicjałów. Nie wszystko udało mi się jeszcze odszyfrować, za co serdecznie przepraszam. Prezentowany poniżej materiał stanowi zeszyt z napisem: „Ventnor Easter 1914”, a także część następnego zeszytu, rozpoczynającego się od notatki pisanej w Port Moresby 20.IX.1914 opisującej pobyt w Zachodniej Australii aż do momentu wyjazdu do Nowej Gwinei. Zapis ten obejmuje pewien ważny okres: przygotowania do wyjazdu, pożegnalna podróż do Polski, zwiedzanie Ceylonu i Australii, czyli okres ‘przedterenowy’. Materiał ten nie był dotąd publikowany, za wyjątkiem ostatniej notatki, która rozpoczyna przetłumaczone na angielski *A Diary in the Strict Sense of the Term*.

Grażyna Kubica-Heller

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> B. Malinowski, *Dzieła*, t.1, s. 53

<sup>2</sup> Tamże, s. 55. Ślady zainteresowania Witkacego tymi zagadnieniami odnajdujemy w jego twórczości, np. *O stosunku religii do filozofii, O polemice i wrogach* a także w dramatach.

<sup>3</sup> Patrz mój artykuł *Malinowski i Akademia Umiejętności*, „Przegląd Humanistyczny” 1982, nr 3-4

<sup>4</sup> Patrz Z. Najder, *Życie Conrada Korzeniowskiego*, Warszawa 1996

<sup>5</sup> M. Dąbrowska, *Szkice o Conradzie*, wyd.2, Warszawa 1974, s. 250

Nie wiem czy w sprawie panieńskiego nazwiska Retingerowej rację ma Dąbrowska czy Najder, który podaje: Zubrzycka.

<sup>6</sup> Patrz, Najder, op. cit., t. 2, s. 280

<sup>7</sup> S.I. Witkiewicz, *Listy do Bronisława Malinowskiego*, Warszawa 1981, s. 52-53

<sup>8</sup> J.E. Plomieniecki, *Polski ‘Pontifex Maximus’ katastrofizmu*, w: *Stanisław Ignacy Witkiewicz, Człowiek i twórca*, Księga pamiątkowa, Warszawa 1957, s. 190

## NAPIS NA TECZCE: „VENTNOR EASTER 1914”

Ventnor<sup>1</sup>, Wielka Sobota ?/14, Wielka Niedziela.

Niebo czyste, morze spokojne; radosny, spokojny nastrój. Po wczorajszym przemęczeniu serca wyspałem się i czuję się lepiej. W og[óle] przez te parę dni silny przypyływ, po długim okresie brodenia po mieliźnie. Problem istotnego stosunku do kobiety. Łączność duchowa i bezwzględne zrozumienie się wzajemne konieczne. Miłość fizyczna stwarza natęzenie [sic] uczucia i pożądanie duszy, która doprowadza do strasznych konfliktów o ile jaźnie są wewnątrznie nieprzenikliwe. Ciągła szarpanina, wybuchy nienawiści maskowane i sztuczne, wysiłku stworzenia czegoś z próżni. Tak „próżnia prześwietlona parą oczu cudownych i ust purpurowych”. Świadoma rezygnacja z rzeczy wyższych, uspokajanie się tem, że czegoś innego nie można znaleźć w życiu. Szukanie ‘kobiety dziecka[?]’. A potem głuchy żal, resentment i aksjomat, że ‘w miłości oczekuje się cudu’. Najgorszy bezwzględny brak inicjatywy. Chwilami myślałem, że powinno się świadomie modyfikować tamtą rzecz wolą, że celowe i systematyczne wysiłki powinny być skierowane celem stworzenia czegoś trwałego między nami. Iluzja! Tam koniecznie potrzeba cudu. Tu, [?] szukanie samego siebie trzeba [?]

Męczyła się dość intensywnie [??] z 9. Symf[onią] miałem napad ujemnych rzeczy, silnej nienawiści.

We Środę 1.IV. silny przypyływ namiętności [??] bez nadziejna potrzeba obecności. Kiedym został [?] tak błagałem jak o litość o widzenie. Widzenie się w ogródku ujemne. Rozstajemy się po powiedzeniu sobie prawdy, rozsądnie i spokojnie. Jestem potem [??] mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze, że nie warto zrywać na ten krótki czas. [??] Idziemy po [?] Noc ciemna, rzeka cicho przemyka [?] Odczuwam brak sympatii [?] ją lekko – zastępują magję miłości jakimś [?] kuglarstwem. Po [??] być miłym i dowcipnym [??] z sentymentalizmem?) Rozstajemy się – po raz ostatni. Po tem jeszcze u mnie w Poniedziałek, potem [??].

14.IV.14.

Wczoraj chwilowy powrót sentymentu, potem ciągle znów trochę zmęczony, przepracowany [??] Czuję jako wspomnienia powoli płowieją i żal mi tego. Nad morzem cudownie i odpływ; brązowe kamienie kąpią się w sinem morzu i nabierają ciepłych, fioletowych odcieni. Wracam myślą do przeszłości do  $n^2$ ; roztopiam się w cudnym krajobrazie. Odczuwam pustkę chwili obecnej; nie jestem sam ani z nikim. Życie wydaje mi się płytką wodą, przez którą się brodzi z przykrością, nie mogąc się ani zanurzyć ani wydostać. Z Mamą? stosunki [?]. W samej rzeczy jestem wciąż zdenerwowany i potwornie opryskliwy. Nie umiem panować nad ciągłym, nieustającym zniecierpliwieniem brutalnym. Dość dużo brutalności i ordynarności wewnętrznej. Wieczorem siedzę w domu i piszę. Myślę o  $t^3$  i jestem b. smutny; myślę z żalem o tem co było i co już minęło bezpowrotnie; w smutnym, rzewnym, zrezygnowanym żalu. Jestem dla niej [?] usposobiony. Mam poczucie jakby była obecna [??] Wczoraj wieczór nastrój biblijny, [?] a la W. Bronię się przeciw feminizmowi, rozumiem [?]. Ulegam nastrojowi. Budzi się w trochę nieokreślony sposób lekka tęsknota do  $t$ . Pewien szwung do pracy. Pogoda cudna. Dziwne jest to odniesienie się do życia [??] Czyż życie można szukać tylko nazewnątrz? Pamiętam

jak mnie zawsze straszyla [?] i pustka lawy nadbrzeżnej w Breña<sup>4</sup> choć tam doznałem [?] wrażeń i samotności.

15.IV.14. (środa)

Praca idzie mi nieźle i układam obecnie spis rzeczy i kontroluję całość. Dopiero teraz widzę jasno jak dalece ta książka<sup>5</sup> jest dokumentem [?] i jak szalenie dużo musiałbym jeszcze pracować ażeby coś jeszcze z tego zrobić. Ale nauczyłem się bardzo dużo przytem wszystkim. Czytając teraz muszę sobie jasno sformułować luki zasadnicze i problemy otwarte.

Czując się trochę lepiej nie odczuwam tak silnie pustki życia. Czasem opada mnie [?] tęsknota. Zасыpiając wczoraj broniłem się [?] marzeniem za objęciem białych ramion. Wyobraźnia pozwalająca marzeniom zaspokoić każdy odruch życia, każdy popęd [?] życie w dwojakim sensie: przedewszystkiem w myśli, w marzeniach trzymamy się znacznie luźniejszych zasad etyki; robimy to, postępujemy tak, jakbyśmy w rzeczywistości nigdy nie postąpili. To jednak osłabia siłę zasad życiowych. Wszystkie zbrodnie spełnia się naprzód w marzeniach. Ale, i to jest druga strona fatalna, silne czyny nie rodzą się równie szybko w marzeniu. Marzy się po liniach najmniejszego oporu; ideały nie chodzą po tych liniach, nie można ich tam spotkać. Marząc, zadawalnia się popędy, będące sprężyną postępowania, wyładowuje się istotne siły organizmu. Wczoraj postanowiłem przeprowadzić ściślejszą kontrolę mych marzeń. – To jest punkt nadający się do teoretycznego pogłębienia; kojarzenia uczuciowe, myślenie uczuciowe.

Wczoraj: przedpo[łudniem] praca w domu, spacer do parku, zmęczenie; po ludzku czuję się dość śpiący, pelikany odjeżdżają. Pracuję trochę z jaką godzinkę, czytam Candide. Może najlepsza rzecz Shaw’a<sup>6</sup>; wpadł na istotnie dramatyczną sytuację i dobrze ją zarysował.

Chwyta mnie specyficzna chandra nadmorska; znam ją dobrze z wysp. Morze zieleje pustką, wypełnioną obietnicami; nienaruszoność jego bezmiaru pociąga i rozczarowuje. Pogoda popołudniu, spokój i wieczny dramat zachodzącego słońca. Idę ku Shanklin z M[amą], z kt[ó]rą stos[unki] nieco się poprawiły. Na lando[?] idę sam dalej. Bierze mnie przepojony zielonością mchów i bluszczem lasek; ptaki śpiewają, morze szepe blisko[?]. Pośród poplątanych gałęzi przegląda ciemno zielone. Staję na dużym omszałym kamieniu i doznając metafizycznego roztopienia się w otoczeniu; piję namiętność, spokój, bezpośredniość, świeżość i rzeczywistość. Tak, rzeczywistość. Uniesienie wywołuje silną potrzebę stwierdzenia realności tego co mam przed sobą. Złania się z tem. Znów koncepcja nirwany jako bezwzględnego obiektywizmu, jako zabicia siebie przez złanie się duchowe z przyrodą. Jedyna forma racjonalnego samobójstwa. Ezoteryczne znaczenie filozofii buddyjskiej.

16.IV.14.

Praca idzie mi nienajgorzej, choć jest to praca zupełnie rzemieślnicza – czytanie i [?] poprawianie dr. S. Pewna przyjemność konstrukcyjna.

Mam bardzo małą tendencję do [?] wkraczania w życie. Doświadczenie lat dawnych nauczyło mnie, że od postanowienia i nadziei poprawy i postępu do wykonania jest b[ardzo] daleka droga. Ale stała, uparta, systematyczna (te 3 rzeczy, które są dla mnie w ogóle najtrudniejsze!) kontrolowanie

się na punktach zasadniczych. Równomierne podnoszenie poziomu życia na wszystkich punktach niewątpliwie prowadzi do celu. Teraz np. powinienem starać się żyć bezwzględnie w prawdziwej sytuacji. Nie zaspokajać żadnych potrzeb uczuciowych powrotami myślowymi do niej. Ja jeszcze mam chwile niepewności, chwile „a może”; chwile w którychbym pragnął, żeby ona do mnie jeszcze wróciła – choćby na to, ażebym ja mógł odejść z gestem. Te rzeczy powinno się bezwzględnie wypalać.

Wczoraj. Rano pracowałem; popołudniu, o 3=ciej łódka do Blackgang. Kołysanie trochę mnie peszy, z powrotem wiatr. Tak, że w niepełnym fizycznym well-being nie od czuwać tak silnie rozkoszy przeżyć nowych i dziwnych. Brzeg od Ventnor do St Catherine's cudowny. Z tyłu ścięta równa ściana, stół, patrzący ku morzu prostopadłą skałą z uwarstwionymi łupków. U stóp tej skały rozpoczyna się łagodną pochyłością aż ku morzu schodzący taras pokryty cudowną zielonością. Bliżej ku Ventnor, pochyłość ta [?] jest od strony morza i brzeg wznosi się bezpośrednio na [d] morzem białą ścianą kredową. Dalej ku St. Catherine's) cudowne, szmaragdowe łączki schodzą łagodnie aż do samego morza. Przypominam sobie popołudnie kiedyśmy z n objeżdżali [?] wyspę; patrząc na nasz domek w S[?]. Obejmuje wzrokiem łączki zielone i drzewa, jeszcze nagie, w bogatych, bujnych kępach w mięk[k]im łagodnym konturze, rozrzucone po łąkach. Przypominam, jak mnie ten pejzaz [sic] kiedyś zachwycał i czuję znowu że go kocham. Patrę na ścieżki którymi wtedy chodziłem. Z. St. Catherine (wioska której wówczas nie zauważyłem [?]) wał ścian z piaskowca, żółtych, grających silnie z niebiesko zielonym morzem. Zamglone brzegi mainlandu.

Przez cały czas marzę o takich przyjemnościach, jak ja zapewne będę miał w lato w Australii. Posiadam jakąś niezdolność brania życia bezpośrednio, w szczegółach tego co mi daje. Muszę ująć każde przeżycie jako część większej całości, jak szczegół systemu czegoś. Myślę jakby to było cudnie być milionerem i posiadać taką Stram Launch [?] na własność.

Wieczór pracuję w domu, i piszę petit poème en prose; który ułożyłem na spacerze do C[?]. Myślałem też dużo i intensywnie o n. O t. myślałem [?] i z tęsknotą. Ale staram się opanować i jasno przytomnić ramy, w których to trzeba utrzymywać. Koniec.

18.IV.14.

Dziś ostatni dzień w Ventnor. Szybko kończę czytanie polskiego [manuskryptu]. Jestem w ogóle już trochę porwany rozpędem podróży. Z tego punktu widzenia jestem b. zadowolony ze skończenia sprawy z t. Rzeczywiście będę musiał skupić się na przygotowaniach, starać się doprowadzić wszystko do ładu i „be efficient”. – Jestem dziś w ogóle trochę zmęczony (serce) choć trzymam się; praca mnie pochłania i tęsknotę w niej topię.

We Czwartek poszedłem na spacer ku Shanklin. Śliczna kotlinka w Luccombe Chine. Widzę przed sobą ujście piaskowcowe parowu, zamknięte dla publiczności i nachodzą mnie socjalistyczne refleksje. Widok z góry na Shanklin, subtelnie wykrojona zatoka, zamknięta białą ścianą i wgłęb wyspy b. ładny. Entuzjazm dla morza; cudna elegancja, cudowność, katastroficzność objawienia morza. Biała piana, symbol piękna.

19.IV.14. Londyn.

Wczoraj po powrocie zastałem dużo listów. Miałem jakiś niepokój, przygnębienie, poczucie rozpaczliwej pustki. Podświadomie wyczekiwałem czegoś, głównie od t i byłem trochę disappointed nic nie mając. Czy pojechała z Kasią<sup>7</sup> do Eastbourne? Musiałem sobie sformułować, że to już nie mój business. List b. przygnębiający od Stasia. Zrozumiałem, że to już rzeczywiście, być może, koniec z nim. Śnił mi się dziś w nocy. Będę musiał zrobić wszystko, ażeby wy dostać dlań pieniędzy i żeby pojechał ze mną. List od n b. mnie [?] jest moim prawdziwym przyjacielem; miałem znów silną potrzebę ażeby pojechał tamta drogą. Jestem trochę przygnębiony powrotem do L[ondynu]. – Świadomość tego, że mam przed sobą pilną robotę dodaje mi trochę sił.

20.IV.14.

Londyn mi nie służy. Prawie niepodobna wytrzymać w tym gatunku skupienia, w kt[ó]rym byłem nad morzem. Wczoraj np. latam bez powodu do [?] Dunn. Wieczorem u Boreniusów; [?] z książki i [?] z Mrs D. wprowadzają mnie w cał[owicie] niepożądany nastrój. Myślę o 'zastrzykiwaniu' arseniku. Niezróżniczkowana zmysł[owość]. Niewątpli[wie] bronie się świadomie i skutecznie, ale do idealnego treningu b. daleko. B. kiepsko usypiam – i mnóstwo najgorszych myśli mi przychodzi.

Co do t, to mam częste powroty; zmysłowo czuję, że tylko ona posiada dla mnie wartość. Chwilę wczoraj miałem znów poczucie, że to jest jednak najistotniejsza rzecz, i, że za wszelką cenę... Ale zawsze wychodzę zwycięsko. Poczucie jakiejś niewspółmierności; kłamliwości czy nieszczerości z tamtej strony. Chwilami mi się zdaje, że to tylko nieugiętość [?] była z jej strony i chęć zbrutalizowania, opanowania z mojej. I że na tym tle była cała walka. Wiem w każdym razie, że bym się nie mógł być na niej oprzeć. Właściwie czuję, że teraz tęsknię już nie za rzeczami [?] ale za czymś stałem. Bezwzględnie powinienem zachowywać czystość wewnętrzną i zewnętrzną.

W pracy mojej widzę coraz wyraźniej luki i perspektywy. Powinienem bardziej na tem się skupiać, zwłaszcza, że praca obecna mi pochłania dużo energii psychicznej.

Przed wyjazdem muszę załatwić podanie o stypendjum; dziś po południu. Pójsz się dowiedzieć do Derry'ego o katalog Callinu [?]

21.IV.14.

Czuję się nie b. dobrze. Spałem kiepsko przez 2 ostatnie noce. Nie zasypiam od razu, pomimo zmęczenia tylko kłębuję się poprzez przyćmioną świadomość swoją potwornych [?] i niemoralnych myśli. Tak samo po obudzeniu [?]. Trzebaby to zupełnie usunąć. Wprowadzić stan siły, opanowania i prawdy. W stos[unku] do t nie miałem prawdy; uczyłem się niedopowiadać rzeczy, fałszować przed samym sobą. Czy byłbym ryzykował wszystko ażeby się z nią na stałe połączyć, tego nie wiem. Faktem jest jednak, że wmawiałem to sobie z dobrą wiarą. Ostatecznie miałem dla niej [?]. Chwilami wprost traciłem przyt[omność]?, szukając jej, idąc do niej. W R[eadings] R[oom], kiedy czasem konieczne chciałem ją zobaczyć i jej nie było. Kiedyś, kiedy ją spotkałem wychodząc z tamtąd i ona zamiast iść ze mną poszła po tym na Ch[?] St[reet]. Byłem w stanach wściekłego upadku, zdany na łaskę i niełaskę i to nie losu, ale kobiety, której absolutnie



nie widziałem[?]. Dotąd nie mam pojęcia, że dalej[?] ona istnieje. Właściwie ona odeszła odemnie pierwsza. Ja nie byłbym się oderwał. Wtedy we Środę rano [??] miałem znów okres bezwzględnej [?] Błagałem o litość. Potem ona też była odporna we Czwartek i za obydwojma widzeniami nie brałem jej. Jedyną rzeczą, która mi pozostała było dać pierwszemu znak [?]. Na dnie miałem nadzieję, że ona wróci – nadzieję syconą głównie miłością własną.

Chodzi o to ażeby się wydostać na drugi brzeg. Ażeby żyć w samotności. Erotyzm i sentymentalizm [?] zabierają mnie jeszcze b. często; widok drzew o czarnych pniach i zielonej aureoli wiosny; cudne wieczory przesycone upałem dnia [?] wielkomięjskim, w którym kryje się tyle tęsknoty za naturą, tyle snów o cudnych wilgotnych lasach, gdzie cicho się stąpa po mchach... Nie mam samopoczucia oparcia się na czemkolwiek; chociaż zdaje mi się będę grawitował w kierunku moich prac naukowych. Ten wyjazd teraz przedstawia się trochę jako blanco w moim życiu. Jeżeli potrafię coś zrobić, to jeszcze wrócę, i z tego na pewno coś będzie. Jeżeli nie potrafię, to będę miał sumę ciekawych i niezwykłych przeżyć za sobą.

#### 22.IV.14. Środa rano[?]

Ciągła [?]; ciągła walka[?] z kobietą niewidzialną, nieobecną, nieuchwytną ale paraliżującą we mnie prawdziwą zdolność, radość życia, stwarzająca jakąś pustkę, która mnie wciąż absorbuje, przepaść, która mnie wciąż pociąga siłą nicości. Wyraźnie rozumiem teraz, dlaczego kobieta jest symbolem zła, zniszczenia podkopania dla mężczyzny. To jest walka o niezależność; walka między człowiekiem naprawdę twórczym a spokojnym członkiem stada.

Wczoraj przedpo[łudniem] przychodzi Marta i Kasia. Ja opracowuję referat do Brit[ish] Ass[ociation for the Advancement of Science]. Potem via Russian Consulate do Brit[ish] Mus[eum]. Jestem pod narkozą upału, pogody, zieleni budzącej się do życia, melodyj przebijających się przez powalę myśli. Niezdolność skupienia się, tęsknota za miłością, za rzeczami dziwnymi, które się dzieją jak w bajce, a kt[órych] w życiu nie ma. Idę po szarej, brudnej powierzchni życia, wśród rozpalonych refleksów – dyszących tęsknotą za wsią[?]: w Brit[ish] Mus[eum] żądam książki i uciekam. W domu lunch z Mamą i [?] Jestem nieobecny, właściwie ciągle podminowany sprzeczną tęsknotą za *t*. Jak tylko ją sformułuję, jak tylko jasno uprzytomnię sobie możliwość jej obecności, tęsknota znika, spokój bierze górę. Zawsze mówię: dobrze się stało. A jednak żal niewymowny. Nie wierzę w jej charakter i wiem, że by mi nigdy z nią naprawdę dobrze nie było. Ale b. się przywiązałem i posiada dla mnie olbrzymi zmysłowy i artystyczny urok. Ten ostatni [?] niż twórczy.

Po południu via Brit[ish] Mus[eum], gdzie nie mogę skupić myśli, do Miss Jones, na topie 68., mało sentymentalnych wspomnień. Wracam piechotą przez Primrose Hill. Tam jakby zrzućenie jarzma. Wtedy, w ostatnią Sobotę Stycznia, kiedy zerwała ze mną po raz drugi, szedłem tam sam w nocy, przepelniony siłą i radością, poczuciem swobody i twórczości, bezwzględnie zdecydowany, że już nie wrócę. Wczoraj Pri[mrose] Hill cudny w aureoli złota zielonych pąków, które płoną srebrem i złotem na czarnych konarach drzew, jako tryumf życia nad [?] mumifikacji wielkomięjskiej. Ten efekt przypomina mi zaraz *t* i napełnia żalem. Przypominam sobie wiosnę roku zeszłego jak szedłem skwerami do *n* na 16, Fitzroy St. i czułem wiosenny nastrój budzącej się miłości. Jak

ją wtedy inaczej widziałem! fizycznie i moralnie. Dokładnie mogę sobie przypomnieć jej twarz ówczesną. Wczoraj na Prim[rose] Hill przyplływ siły. „Muszę stworzyć coś nowego w życiu, wydobyć plus ultra. Nie chcę poruszać się w jednostajnym zamkniętym kole ciągle tych samych upadków i gramoleń.” Miałem chwile upadku – chciałem się przystawiać do każdej kobiety – ale się opanowałem.

Te wstrętne, [?] instynkty – dziwne jak sobie wyobrażę w ich świetle jej psychologię, opanowuje mnie wstręt – i odpadają one odemnie automat[ycznie]. Ale sam nie mam dość sił, ażeby z nimi wprost walczyć. Wstrętne.

Wieczorem dostaję jej kartkę. Peszy mnie bardzo. Zabijam w gimnastyce. Mam chwile metafizycznej więzi. Jestem sam w jakimś ciemnym, wysokim korytarzu. Czuję potwornie silną rękę losu, który mnie prowadzi. Bezwzględne poczucie metafizycznej pokory. Korzę się przed bezmiarem świata, którego nie ogarnę, a którego pożądam; przed siłą losu, który mnie wiedzie bez oporu i względów; przed tajemniczą zagadką istnienia, której okrucieństwo i spokój odczuwam bezwzględnie. Odczuwam całą nicość walki o swoje ja, stwarzania siebie z pustki, aby się znowu w pustkę obrócić. – Takie chwile są istotnie religijne; jak mówi Szymberski „rozmowa z Bogiem”. Dodaje[?] siły wewnętrznej. – Jest mi właściwie źle; tęsknię za kobietą; tęsknię nawet za *t*. Ale chcę iść w przeciwną stronę. Przechodzę teraz okres „odkochiwania się”, podobny w psychol[ogicznym] zabarwieniu do proc[esu] zakochiw[ania] się. Nie śpię, niemam apetytu, jestem [?].

#### Piątek 24.IV.14 w Berlinie.

Od tej kartki, kt[óra] mi ją znów przypomniła silnie, przechodzę wciąż stan silnego uczuc[iowego] powrotu. W Środę rano opanowuje się, odsuwam czytanie powieści i biorę się do roboty; przepisuję podanie o styp[endium].<sup>8</sup> Marta na dole. Idę się kąpać; cudne drzewka w ogródku. Tęsknota za nią; żal, że wyjeżdżam, że stracę to cudowne przejście w Lond[ynie]. Czytam z M. m.s. [manuskrypt] ostatecznej poprawki. Potem via Antrop[ologiczny] instytut do Uniwersytetu. Rozmawiam z Sekretarką: kobieta.

Szarpie mnie wciąż problem [?] tęsknota og[ólna], potrzeb[eba] czegoś zwraca mnie ku jakiejś parze oczu, jakiegoś profilowi; wówczas tłumię to w sobie [?] *t*. Potem znowu z nią walczę. Kupuję u Gamage i u Rablis'a. Potem via Marta, której nie ma[?], do domu. Myślę chwilami o *t* z mię[k]kim sentyment[em]. Przypominam miejsca i chwile. W domu wielki pośpiech; uczucie samotności[?]; ja i M[atka] na całym świecie. Żal, że M=*e* opuszczam. Wyjazd [??]

Jestem niezmiernie smutny i opuszczony. W kolei przypominam sobie z niezmierną siłą jazdę do Conr[ada].<sup>9</sup> Patrę przez okno na Tamizę. Tędyśmy wracali, jedne po drugich występ[ują] wspomn[ienia] tamtego dnia i nocy w Sandgate. Ta linja jest bezwzględnie związana z nią. Zamykam oczy; idzie ku mnie z ciemności; widzę ją coraz wyraźniej jak idzie z [?] w twarzy i staje przedemną; [?] zrodzona z bólu i tęsknoty; odczuwam fizycznie jej obecność. W uszach brzmi mi wciąż motywy beznadziejnego bólu z Parsivala. Po raz pierwszy od zerwania nie odchodzę od niej myślą; żal szalony, że się tak stało. Łzawy żal. Nie mam nawet jasnej pewności, że nie wrócę. Mam poczucie, że ona przechodzi przez podobny stan. Równocześnie myślę sobie, że jestem

zmęczony, osłabiony, i że nie mogę decydować o stanie swym wewnętrznym. Nie jestem pewien cobym zrobił gdybym ja wtedy właśnie spotkał. [??] Przypomin[am] – [?] ten ranek mroźny: 3 osoby, ona z gazetą. Jej twarz – wróblek mały – w tamtym kapeluszu z piórem. Głos Conrada po francusku.<sup>10</sup> Potem druga. W [?] patrzę na [?], tam gdzieśmy chodzili razem. Statek odjeżdża; podwójny błysk latarni. Błądzą wzrokiem na lewo, tam gdzieśmy szli. Zaczyna się beznadziejna, tępa pustka; odchłań pod wszystkim, przepojenie rezygnacją. Przez cały ten czas, aż do tej chwili jest mi strasznie źle. Ból przenikający wszystko; „poczucie, że się wszystko skończyło” i wyczerpało aż do dna. Ból nie ludzki, nie indywidualny: Jest się kawałem cierpiącej materyi. W całym ciele równomiernie rozmieszczone cierpienie; „homogeniczna bryła miękiej, lepkiej, cierpiącej materyi”. Cierpię strasznie poprzez fale szaro zielone; poprzez cudny [?] pejzaż [?] gdzie w zielonej [?] budzących się drzew przewija się fiolet dawnych cieniów nocy i złoto budzącego się dnia. Drzewa owocowe w kwiecie, lasy, łąki – wszystko najcudniej zielone, wszystko rozszalałe i zeszywniałe w najwyższym uniesieniu rozkwitu i obietnic – wszystko to przykrywa cienkim, przezroczystym, co chwila szarpiącym się woalem czasu, bezdenną, jednolitą pustką. Tęsknię za nią strasznie – a jednak wiem że nie powrócę; mówię do niej; mam do nie żal, że [?] odeszła. Strasznie żałuję, że tak się stało. Chciałbym żeby i ona cierpiała, żeby jej mózg rzucić całą winę [?]. Potem chwile ostrzeżenia. Ciekaw jestem jak się ona czuje. Poczucie swej własnej małości. Może najgorsza właśnie ta dwoistość. Ta niepewność. Czytanie Return Conrada.<sup>11</sup> Bajeczna rzecz. Tak i ona też mi miała [?] i ona też byłaby na zawsze czemś niebezpiecznym, czemś co może doprowadzić do samobójstwa, do zaprzeczenia życia. Tak ona byłaby mi zepsuła życie – czy ja wiem? Czy można taką rzecz kiedykolwiek wiedzieć? Obrachować?

Podczas całej drogi czuję się potwornie przemęczony – brak sił nerwowych; czuję że powinienem po prostu spać. A jednak siedzę i czytam; ruszam się. Czuję, że tylko albo praca albo sen pozwolą mi zabić tęsknotę, żal. Czytam Notes & Querries<sup>12</sup> i myślę lepiej. Nie daję się oszwać konduktorowi i kontent jestem. W Berlinie pogoda, cudna zieleń; bajeczna w nocy jak abażur na wielkich lampach łukowych brutalnie [?] w sam środek drzewa. Miasto jak zawsze wstrętne; ale tym razem w imię *t* i pod znakiem moich poprzednich doświadczeń (przedostatni raz byłem sam, jadąc do Warszawy [??]) ostatni raz z Mamą; otrzymuję list od *t* na poste restante; dziwka [?] z bajecznie dystygowaną twarzą nie prostytuje oczu.

Biorę Niemców z wyższego, czysto teoretycznego odniesienia się i odczuwam do nich wyraźną sympatię. Bajecznie wszechstronny i plastyczny naród; jedyny gdzie naprawdę kultura daje całą, obiektywnie pełną skalę możliwości. W porównaniu z Anglią imponują oni osobistą, istotną Leistungsfähigkeit [sprawność, wydajność]; a nie szykiem i stylem.

Wczoraj idę do optyka, do Med[izinische] Warenhaus; szukam w 4 sklepach antrop[ologicznych] narzędzi. Potem Wertheim, optyk (jestem nawpół przytomny ze zmęcz[enia]) na Tristana; nawpół śpię. Chwilami ból intensywny, jak rozpalone obcęgi, w 2. akcie, kiedy ona oczekuje. Potem żal długi, miękki, głęboki. Wciąż jestem z nią. – Orkiestra bajeczna, właściwie dopiero teraz naprawdę. 1. klasy przedstawienie.

W nocy na banhof, kartka do *n* – ledwo na nogach stoję. Dziś od rana trochę mi lepiej i mam tylko gwałtowne chwilewo napady żalu. Rano tzn. o 10½ na kolej i potem piechotą na [?]. [?] bajecznie miły; interesuje się mną; daje mi skalę barw skóry; pisze do Martina [pewnie list polecający]. Muzeum zdaje mi się znacznie lepsze od [?]. To mnie trochę podnieca i nie myślę o *t* przez chwilę. Potem wraca ze straszną tęsknotą. Są ludzie, kt[órzy] są po prostu jakby wielką pomyłką natury, Pana Boga, czy [?]. Tak przez chwilę myślę; ale nie; pomyłka leży zawsze w konstelacji, *t* jest pomyłką w stosunku do mnie i do [??] nat. warunków. Chciałbym się uczciwie i poważnie pomodlić[?] Jak przyjaciel prawdziwy. – [?] śpię.

Zakopane 3. Maja.

Smutny nastrój podczas tej pożegnalnej podróży po Polsce. W Warszawie tęsknota i zakochanie się w *w*, na tle tęsknoty za Lond[ynem] i za tem co było, przemieszana z żalem za *t* i z żalem do siebie, że jestem taki [?]ny. [?] rozstania się z [?] jej rozpacz i potworny wyrzut sumienia, że ja taką rzecz mogę zrobić zupełnie [?] i za darmo. – [??] tym strasznym [?] rzeczy. Na chwilę zapominam o własnym szczęściu, o prawie do szczęścia, myślę tylko o prawie do życia swojego i cudzego; mam silne przeczucie etyczne. Moje własne rzeczy maleją do zera. Mam wrażenie, że żyję w idealnych warunkach, że ja mam jeszcze czas i sposobność na wszystko. Nawet moje życie przedstawia mi się od wewnątrz jaśniej i celowiej, ale za cenę tylko przesunięcia płaszczyzny etycznej. Od dłuższego czasu (!) od wyjazdu z Warszawy nie odczuwam niepokoju za kobietą. To co widzę tu działa jeszcze silniej.

Spisuję po kolei treść dni przeżytych: W Piątek po przespaniu się czuję się świeży i wypoczęty; odwożę rzeczy na banhof. Gotuję się na Parcivala. Idę na mleko kwaśne i piszę list do Mamy Hermana[?]. Następnie na pocztę, kolejka podziemna na Bismarckstrasse. Niema miejsc na Parcivala. Jestem speszony; ogarnia mnie tęsknota, która gdzieś tam była, ale miałem nadzieję utopić ją w muzyce. Parę akordów Parcivala mnie przesładuje. Idę piechotą długimi ulicami, potem Tiergartenem. Coraz wyraźniej występuje jej sylweta. Wchodzę w ciemne aleje, z czarnymi, przejrzystymi sieniami. Ciepło; zwierciadła sadzawek odbijają drzewa, brzeg, niego. W Parku mało osób; pary zakochane siedzą na ławkach. Ogarnia mnie szalony żal. Czuję ją wciąż wkoło siebie. [??] pełnym rezygnacji i ukojenia, które [?] się jakąś ukrytą, półświadomą nadzieją. Musze sobie powtarzać, że absolutnie do niej nie wrócę; że myślę o niej tak blisko z powodu zupełnej niemożliwości powrotu do niej, przynajmniej w danej chwili. Na kolei, dostaję ławkę; jadę ze zmęczonym polakiem, śpię b. źle, staram się o odrętwienie. Na granicy długie czekanie. Czytam Conrada [??] z grubym niemcem. [??] Czytam Conrada i dzieła niemieckie.

W Warszawie. Hotel. [?] w [Wandzia] wygląda b. ładnie, efektowne uczesanie, w białej bluzce.[?] czy jedzie do Krak[owa] mówimy o *t* [?] patrząc jej w oczy; mam wrażenie, że mogłoby coś być [?] rozmowa ze starymi o muzyce i o okrętach. Potem do Szpot[kańskich]<sup>13</sup> [?] flota; dowiaduję się o *M*.<sup>14</sup> Potem do Sz[?]ów, Stach b. kiepsko, błądy, zmieniony, źle mówi, umysł mocno przyćmiony. Przypomina mi wuja Bronisława podczas ostatniej jego choroby. B. przykre wrażenie. Mówimy o mojej jeździe; przychodzi jego matka. Potem idę do kawiarni [?] gdzie August Xaw[ery] Zal[eski]<sup>15</sup> i Ochenkowski. Rozmowa about nothing, [?] etc. Potem do

Stasia Ziel[ńskiego]. Żenia<sup>16</sup> trochę zmieniona. Rozmowa o niczym (zbierałem się na rozmowę istotną z nią!) czuję zawsze, że stoi na wysokości tego co ja mówię. Dowiaduję się, że jest pregnant. Peszy mnie to. Mówię jej o moich planach. Radzi mi wziąć Stasia. Wychodzę wcześniej, z ulgą. Uwolniłem się od bezpośredniego jej uroku. Chciałbym jej tylko powiedzieć, [?] cieszę jej szczęściem.

Wieczór chcę iść do Etonki, na operę, nic z tego. Wysłałem list i idę na spacer w aleje. Tęsknię za w, ale myślę, że z tego nic nie będzie. Jest ona jedną z niewielu panien, o kt[órej] mógłbym myśleć en termes de mariage. [?] Ciocia Kazia[?]. Mówi o miłości [?] Odczuwam zazdrość. Do w odczuwam tę falę rzeczy świeżych, natchnienie miłości, coś co porывa i pcha. Może najsilniejszą fazę miłości. Myślę czyby jej nie dać znaku jakiego. Obiad; gadanie ogólne. Ona mi mówi, że nie pojedzie do Krak[owa] i że jest sorry. I ja także. Potem rozmawiamy sami – o czym? O czemś półsubiektywnym[?] w czym się człowiek stara powiedzieć rzeczy pośrednio. I opowiadam wizytę u [?]. Potem via Eton, kt. niema, via Halinka, kt. niema [?]. Acha, rano u [?] Władzia, Schneiderowa. Rodzina Halinki.

Potem idąc do p. [?] spotykam w z siostrą, idę z nimi. [??] Tam cały wieczór. S[?]ówna mi mówi prawdę o jego zdrowiu. Siedzę tam długo, idę spać.

W Poniedziałek dent[ysta], kupowanie lornetki, wizyta w Heliosie. Jestem spokojny; staram się być uważny i skupiony. Z w b[ardzo] miło mam do mówienia. Obiad u S[?]. Etonka. Czuję [?] pożądanie z ciekawości i równocześnie zdaje sobie sprawę z nierealności[?] i opanowuję się. Acha, Halina – dentysta – Etonka – Halina i spacer na 3 most. Jadę do Sz[?] I przez cały czas mam [?] do w), potem z Aug[ustem Zaleskim] do Ochenk[owskiego] Razem spacer [??] o rzeczach płciowych; jazda do Krak[owa] [?] nad ranem, piszę notatki, numeruję kartki. W Krak[owie] najpierw do Akad[emii Umiejętności] [?] przyjmuje mnie Sch[?], Rydel<sup>17</sup> [?] w ogóle parszywe plotki. Pensjonat. Rostafiński.<sup>18</sup> [?] Augusta [Witkowskiego<sup>19</sup>] kochałem jak ojca. [??] W Krak[owie] mam silne przypomnienia t, ale bez wyraźnego [??], który zresztą tłumię świadomie. Podwałe 2[?] tam gdzie [?] schodziłem. Szczepańska ulica. Via Strasburger<sup>20</sup>, [?] Żu[ławski<sup>21</sup>] do [?] Ulan[owski<sup>22</sup>] długie g[łędzenie] antigwinejskie i utrudnienia z M.S.[manuskryptem]. Pensjonat; idę na kolej dowiedzieć się o pociąg, Śpię w ubraniu.

#### Kraków. 6.V.14. Opis pobytu w Zakopanem.

Pogoda cudowna; powietrze niebywale przezroczyście. Wszystko pokryte odświętną pustką; pustką rzeczy świętujących, odpoczywających, bezcelowych. Jestem bardzo dużo ze Stasiem. B. przygnębiony jego stanem; czuję, że zamknięcie życia z tamtej strony, że zniszczenie jego jest upadkiem jednego z moich ideałów. Wierzyłem i do dziś dnia wierzę w Stasia, w jego geniusz i indywidualność; jest on dla mnie wcieleniem duchowej wyższości i odrębności ducha polskiego. W tej całej sprawie widzę, że jest on też wcieleniem najgorszych stron i słabości. Miałem chwilami pozytywne poczucie, że jego bankructwo jest potwierdzeniem moich poglądów etycznych, jest strasznym symptomem niebezpieczeństwa, które tkwi w zupełnym nieocembrowaniu[?] źródeł artystycznego natchnienia i woli do życia. – Chwilami staram się zapomnieć o Stasiu. Uciec od niego. Nie wchodzić w[gląb] jego stanu, po prostu [?] przez egoistyczny instykt samoza-

chowawczy. Typowy stan psychiczny ucieczki przed nieubłaganą ręką losu, na mielizny [?]ciowości tamtej. Staram go się przekonać argumentami, których płytkość i marność sam odczuwam. Nie ma nic, tylko śmierć. Ale ja nie mogę, nie mam obowiązku iść dalej, iść za przyjacielem aż do samych wrót Hadesu, chyba, żeby go sprowadzić napowrót, z powrotem.

Jazda do Zakop[anego]: dzień piękny, pogodny. Jadę w korytarzyku. Droga, szczegóły, Podgórze, Kalwarja; przypominają mi ostatni raz z t. Wtedy też była pogoda. Jechałem z nią z początku w zewn[ętrznym] przedziale; Siarkiewicz; mówiliśmy do siebie po anglijsku. Potem przesiadliśmy się do osob[owego] już za Podgórzem. Ona jechała do Stryszowa. Za Kalw[arją] patrzyliśmy razem na śliczny pejzaż. Potem ona siadła[?] mi na kol[ana] i patrzyła wprost przez okno. Pojechała ze mną do Zakop[anego]. Mówiliśmy o Zakop[anem], o naszej przyszłości, o Lond[ynie] było mi dobrze, ale pusto dosyć. Ona mnie nigdy nie brała wewn[ętrznie]; nie mogła mnie brać wewn[ętrznie]. – Myślałem o niej i tym razem, ale świadomie i skutecznie starałem się zabijać sentymentalizm. Czytałem Conrada i notes & queries. W Suchej rozmawiam z panią Bierkowską. W ogóle pewne przytępienie radosnego odniesienia się do przyrody. Za Chab[ówką] patrzę przez okno; patrzę Fernseherem [lornetka]. Myślę o tem co mam powiedzieć Stasiowi; wyrzucić nacisk, żeby wyjechał.

Staś na stacyi; wygląda źle, jedziemy do Nosalu.<sup>23</sup> Mówię mu o ewentualności pojechania; on mówi [??] o śmierci; o swoim stanie rozpaczyliwym. Ten sam nastrój rok temu był dekoracją jego największego szczęścia. W Nosalu p. Witk[iewiczowa] przyjm[uje] mnie ze łzami. Schodzimy do Zakop[anego], Apteka, niema listów. Konstancynówka<sup>24</sup>; [?] wracamy piechotą przez potok. Staś opowiada mi całą historię. [?] anomalne; niezadowolone; wyjazd do Lovrany<sup>25</sup>; powrót. Karolek.<sup>26</sup> Dwoistość i licytacja ich wzajemna. P. Witk[iewiczowa] i Helena [Czerwijoska] wieczorem mówią ze mną. Potem Staś wieczorem opowiada mi do końca; faza rozpacz i faza obrzydzenia.

Nazajutrz [?] faza obrzydzenia i względnej siły. Pogoda. Rano siedzimy w domu, tylko spacer na Kozieniec. St[as] ma ochotę na jazdę do N[owej] Gwinei. Po obiedzie do Zakop[anego] on do Irenki [Solskiej], ja do Apt[eki] do Żu[ławskich] i do Konst[antynówki] wieczorem. Aniela [Zagórska], Wym. w Nosalu. Wracamy ze Stasiem szosą. Smutny i pusty wieczór. Wieczór wywoływanie klisz. Czerwone światło.

Piątek, rano pogoda, popo[łudniu] chmury zachodzą. Idziemy do Ziel[ńskich] na Olczę. Przypominam Ż[eni] wszystkie dawne rzeczy. Siedzę w izbie u Ziel[ńskich] i patrzę na łóżko, patrzę przez okno na dobrze znany widok, przy kt[órym] tyle razy pracowałem, w kt[órym] tyle razy topiłem tęsknotę<sup>27</sup>. Góry przysłonięte, tylko miejscami się odsłaniają. Nad Gubałówką burza. Idziemy przez Bachl[edowy] wierzch do Zakopanego. Do Apt[eki] Staś do Ju[?]. Jem kolację w Apt[ecie]. Potem piechotą. Jemy jeszcze kol[ację] w Nosalu. (Aha, jeszcze Marja Bułhak z kt[órej] schodziliśmy we Czwartek do Zakop[anego]). Potem wywołujemy na papierze moje klisze od Lang[iera]. i klisze zrobione popr. dnia. Sobota. Dzień deszczowy i chłodny. Rano – Popo[łudniu] do Zakop[anego]. U Dzi[?] z Anielą i Żu[ławskimi] o „kobiecie”. Potem przez Bachl[edowy] Wierch. Straszna zadyszka i przeziębienie. Wog[óle] nie czuje się dobrze w Zakop[anem]. Wieczorem przyjeżdżają 2 damy i Świeżawscy. Idę wcześniej spać.

Niedziela. Rano pogoda. Idziemy na Olczę. Zdjęcie Hrubego i 2 chałup. Potem u Zielińskich. Zostawiamy kamerę. Popołudniu z filtrami(?) na Olczę, bez płaszcza. Zdjęcia: Giewontu, gór z ganku i brzeźka. Potem ja idę sam do Zakop[anego] na kol[ację] do Tabów; przedtem na chwilę do Anieli. Jadę z gazdą(?) na Olczę. Wywoływanie z Langierem. Klisze udają się doskonale. – W nocy śpię kiepsko.

W Poniedz[iałek] cudna wprost pogoda. Gorąco. Marze o kąpielu, ale czuję się fatalnie. Na Olczę do Zielińskich. (?) Mówimy ze St[asiem] o głupstwach u niej. Potem z powr[otem]. Jestem b. osłabiony. U Lang[era] pożegnanie. – W Nosalu nic nie jem na obiad. Po ob[iedzie] pożegnanie, pakowanie. Epizody z wujem Świeżawskim.

Jazda do Krak[owa] II klasą. Czytam Nostromo.<sup>28</sup> (?) patrzę przez okno. Potem drzemię. Rozmawiam. Jestem niespok[ojny] o zdrowie.

Kraków u P. Borońskiej(?) (?) Na 2. dzień do Hr. Zamoy-skiego<sup>29</sup>. Speszenie u Akademii Umiejętności. Dentysta; fatalna sytuacja z wyrwaniem zęba – siedzę przez 1/2 godziny w męczaśniach. – Popołudniu do Hr. do Strasburg[era] do Hrab. długa rozmowa. Money granted. Wieczór decyduje się zostać bo kiepsko z zębami. W Boroneum(?) Czytam Nostromo. W nocy krwotok. Dziś rano pewna pustka. Nie wiem co z sobą zrobić.

Niedziela 17.V.14. Londyn.

Od czasu powrotu tutaj, tzn. od Soboty 9.b.m. wieczór znowu epoka słabości i upadku. Myślę ciągle o *t*; dobrowolnie jej szukałem; sam ją zaczępiłem w R[eading] R[oom]. Ciągle za nią tęsknię i sentymentalizuję o przeszłości. Wspomnienia fizyczne hauntują [haunt – straszyc] mnie jak zmary. Mam jej niby to coś ostatecznego do powiedzenia. Najwyraźniej „idealizuję” ją, widzę ją w nieporównanie lepszym świetle – skonstatowałem to wczoraj, zobaczywszy ją znowu taką, jaka jest. Wiem całkiem jasno, zwłaszcza jak ją widzę, że między nami nie może być nic psychicznie substancjalnego; a z drugiej strony uczuciowo i fizycznie robi na mnie niezwykłe silne wrażenie. Straszne jest to (?) się tej afery teraz właśnie, kiedy bym potrzebował wolnej głowy na wyjazd i wolnych uczuć ażeby pożegnać się z (?). W domu siedzę b[ardzo] mało. Jestem dużo u Seligm[ana]<sup>30</sup>, który spija się b. poćwiwie.

Krótkie zebranie zdarzeń: W Krak[owie] następny dzień zupełnie stracony: Jachimcey<sup>31</sup>, Żuławscy, Edzio Str[asburger] etc. Czuję, że zupełnie niepotrzebnie zostałem. Droga do Lipska: konstatuje, że ząb niedorwany i ropa: to mnie strasznie peszy; w ogóle jakieś złe przeczucia i wizja ostatniej jazdy, kiedy w Dreźnie spotkałem się z *n*. Myślę dużo i tkliwie o *n*. {Wtedy jechałem, ażeby w Londynie spotkać się z *t*. Pamiętam, że po przyjeździe do Londynu myślałem dużo o *z* i o *n*; że miałem silną chandrę „popsutego życia”; ale że do *t* odnosiłem się jak do kokoty, że miałem do niej rodzaj nienawiści i (?). Jak się to teraz potwornie mści, to lekkie branie życia! Pamiętam, tamtego lata w Krak[owie], jak nudę jej towarzystwa, pustkę jej obecności wypełniałem brutalną zmysłowością, czując ją w swych rękach; straszne! Cała wina jest po mojej stronie i teraz cierpię strasznie, ale słusznie. Pamiętam w małym pokoiku patrzącym na planty. Całowałem i ręce moje były na niej, chociaż serce i dusza były dalekie. Teraz te wspomnienia przepelniają mnie nieopisa-

nym bólem. Budzę się w nocy w półśnie. Tak samo na Olczy. Wziąłem ją jak się bierze łatwą i tanią zdobycz. Nie miałem wtedy poczucia zbrodni. Byłem (?) i kryminalnie lekkomyślny. Teraz za to płacę; nie wolno być większą świnią niż się ma prawo do tego. Intelktualna deprawacja nie jest paszportem. Etyka odpowiada pewnym potrzebom uczuciowego życia; których nie wolno libertynować.}

W Lipsku szalone zmęczenie, prawie nieprzytomność. Kolacja u Fl[öhchen], potem do Estel. Brzeź[?] nie przychodzi. Polem znów u Fl. Nie miła angelka, do której się jednak pałę chwilowo. Jazda do Hanovru. Gubię funta. Szalona migrena; nieznośne niemeczki, (?). Nocleg w Goch.

Jazda morzem; mało zachęcająca na przyszłość! Dojazd do Anglii; patrzę lornetką; statki idące na południe; Union Castle. Dojeżdżając do Qucenborough, statki wojenne, jacht duński, Port Victoria. Myślę o *t*. Jadę koleją przypominam sobie liczne razy kiedy jechałem do *n* i przypominam *t*. Radość z przyjazdu no Anglii i do Londynu]. Listy – nic od *t*. Niepokój.

Następny dzień. Niedziela. Przychodzi Czapl[ia] [Czaplicka<sup>32</sup>]; idę z nią; Hall. Popł. i Fry<sup>33</sup>; wieczór u Seligm[ana] (?) (W Sob[otę] wiecz[orem] Boreniusowie, Mam w (?)). Poniedz[iałek]: (?) od Derrego, popołudniu u Halla (?) Brit[ish] Mus[eum] gdzie szukam wspomnień i nie tylko wspomnień. Czytam instrukcję o fotografii. Wieczór seminarium]. Westerm[ark]<sup>34</sup> i post. seminar z rozmową (quasi naukową). Trochę (?) wracam piechotą z Appelby do domu i zaziębiam się. Wtorek, rano zmęczony idę do Brit[ish] Mus[eum]. Wieczór Kasia. Chwilami męczę się strasznie przez te dni myślę o *t*. Kasia ma chandrę i ja też. tele[fonuje] przy moim wyjściu. Strasznie mnie to peszy; nie mam żadnego interesu, ale postanawiam potem zatele[fonować]. Idąc do K. mam słabe przebłyski sentymentu za Wandzią. Uczucie rykoszetowe. Męczę się też trochę myślą, że Konr.[Conradowie] są u Reting[erów].<sup>35</sup> Afera jazdy Stasia. Chwilami mam przebłyski podłej zazdrości i niechęci, ale w ogóle chciałbym żeby pojechał; zwłaszcza albo kiedy mnie przyciśnie ból, albo kiedy zaczynam naprawdę się wydobywać.

Wczoraj, w Niedzielę, kiedy się czułem najgorzej, miałem rozmowę z panną Hadley o nieszczęściu wewnętrznym, o przetrwaniu i o obiektywnym nirwanicznym. Ona mówi, że wiele przecierpiała w życiu i że to stworzyło w niej ten altruizm.

We Środę ? We Czwartek mam iść do Seligm[ana] na lunch. Idę via Czapl[icka] do Brit[ish] Mus[eum], tele[fonuję] do S[eligmana] czy mogę przyjść. Odkłada mnie na Piątek. Idę do R[eading] R[oom] i szukam jej po zwykłej stronie; potem (?) po prawej i tam znajduję *t*. Idziemy przez Kings Library szybko pod górę po schodach. Do nowego pokoju. Jestem spokojny, opanowany; pytam się serdecznym głosem o jej zdrowie, o matkę itp. Potem idziemy greckimi galeriami na dół. Rozmowa się nie klei. Idziemy na lunch, jak dawniej do Express Daisy. Czuję się strasznie łzawo. Nie mogę na nią patrzeć. Mówimy o planach naszych, o jej jeździe w lato do kraju; trochę o przeszłości: ja proponuję jej spacer i pójście na operę; mówię, że tylko jako przyjaciel. Ona nie chce; zbyt dużo ją to kosztuje. – Nie mogę nic robić w R.R. potem (acha, mówię jej jeszcze o tem, że nie używam plastrów). Z (?) i Lewińskim<sup>36</sup> do Vienna Café. Wieczór w domu.

W Piątek, rano do Bossans[?] Brit[ish] Ass[ociation for the Advancement of Science]. Lunch u Seligm[ana]. Parciwal. Potworna męczarnia; mam ją wciąż przed oczami duszy; nie mogę wprost słuchać muzyki. Po 2. akcie, gdzie mnie głowa rozboliwa i kt[ó]ry mnie nie interesuje, wychodzę. Męcę się przez te dni potwornie. Mam to poczucie odcięcia od świata; tam za jakąś nieprzenikliwą taflą coś błyszczy w słońcu, coś radosnego się dzieje, a ja tu jestem ja wycięty ze świata, jedna cierpiąca bryła. Chwilami cierpię biernie; chwilami ujarzmiam, ale tylko tak dalece, że sentymentalizuję, piszę wiersze i rozmawiam z nią w myśli – a właściwie na dnie wszystkiego tęsknię za nią i beznadziejnie żałuję że się to stało i pragnę powrotu. Ale chwilami i ostatecznie zmagam się, walczę o siebie i, jakkolwiek nie staram się oszukać cierpienia, przetrzymuję go [powinno być: je] siłą. Ale cała rzecz jest potwornie ciężka. Rzeczywiście, bez niej nie mogę żyć.

Środa 20.V.14.

Przytem to wszystko było na tle silnego napadu zmysłowości w ogóle. Tęskniłem za kobietą, a jedyną kobietą była ona. Od Czwartku przeszłego do dziś dnia byłem wprost nieprzytomny. Rozmawiałem z Seligmanem o interesach, z Rayem o lingwistyce, z Westerm[arckiem] o różnych kawałach tylko pod najwyższą presją i nawpół przytomnie. Obchodziła mnie tylko jedna i jedyna rzecz. Kojarzenia skręcały stale i zawsze w to samo koryto. Cały Londyn przedewszystkim był przepojony jej obecnością.

W Piątek, na Pass. cierpiałem wprost strasznie. Wzdrygałem się na myśl o tem. W Sobotę rano, po niezłym wyspaniu, idę z Sel[igmanem] do Levin & Alders. Potem via Curtis do Seligm[ana], gdzie pierwsze 3 zdjęcia. Jestem troszeczkę spokojniejszy i idąc do *t* nie drzę na myśl, że jej nie zast[anę]. Dziwnie zmieniona ulica z powodu rozkwitłych drzew. List od niej. Jadę do domu. Potem do Seligm[ana] znowuż. Zaczyna mi być strasznie źle; idąc przez ogródek tęsknię. Jadę 68. U Seligm[ana] Ray; mówimy w językach; jestem na wpółprzytomny z bólu, światło przeciekające przez szyby mnie peszy. Telefonuję; idę, czując, że robię głupstwo. Kasia Chłapowska. Przekomarzam się z Kasią. Patrę na *t* chwilami, ona na mnie dość rzadko. Błaznuję z przykrością; chciałbym być dla niej czemś nadzwyczajnem; głupstwo chwili przelotnej rzucone na pustkę nad którą trwamy jest czemś strasznie. Trywialność akcesoryów tragizmu. Mówię o językach papuańskich, chciałbym mówić o sobie, interesować sobą; bolą mnie te rzeczy, w kt[ó]rych ona teraz żyje, a kt[óre] nas dzielą coraz wyraźniej i silniej. Wycieczka *t* i Kasi do St Albans; stałe zebrania kolonii polskiej u nich. – Piechota z *t* i Chłap[owską] do Chalk Farm S=n jestem zazdrosny nawet o niego. Jazda z Kasią; pluje i kłnę; ona robi złośliwe uwagi o miłości.

Niedziela – rano grzebię się w domu; jazda do Hadley'ów przypomina mi wszystko, wszystko. Mama w dobrem usposobieniu, rozmawiamy. Strasznie ciężkie chwile u Mrs. Hadley. Nie mogę wprost chodzić po ogródku. Uciekam. Z Heleną rozmawiam o cierpieniu i to co ona mówi b. mnie pociesza. Ona lepiej rozumie, niż wiele innych osób. Objektywizacja odniesienia się poza cierpienie; nirwana. Mówiąc z nią, czuję, że mam kogoś żywego przy sobie. Idę do Kew Bridge; droga nad Tamizą tak mi bliska. Nigdy tam nie byłem z nią, a jednak wszystko jest nią przepojone, Putney, Tamiza. Zupelna, błyszcząca pustka. Spacer po Holland Park; staram się

gwałtem opanować. Wciąż żyję wyłącznie tem i wyłącznie to staram się strawić. W ogóle, patrzę cierpieniu wprost w oczy; dużo jednak z nią mówię i prowadzę jeszcze grę: powiedzenie jej dużo rzeczy; zrobienie fotografii. Miss Martrygast; ożywiona rozmowa; z Westerm[arckiem] do Goodge St.; potem via Czapl[icka] gdzie Memcia mówi o Retingerach do domu. W domu papiery. Spotykam Boreniusów, kt[órzy] się zbyt sympatycznie do mnie odnoszą.

W Poniedz[iałek] (18), przedwczoraj. Rano, po napisaniu paru listów, telef[onuję] do *t* i idę. Staram się być opanowany. Silne wrażenie tamtego domku. Fotografuję [?]. Mówimy o strasznej piękności świata i pogody. Ona jakoś nie bierze tego b. intensywnie, albo też się nie rozumiemy. O 1½ uciekam do Seligm[ana] – niema lekcyi. Wywołuję [?]. Potem wyk[lad] Seligm[ana] – jedzenie i semin[arium] z Westerm[arckiem]. Wszystko straszne; nawpół przytomny. W domu Kasia; jestem tak przybity że ledwo żyję. Przychodzi *t* w małym, śmiesznym kapelusiku. Odżywam; jestem miły i dobrze mi jest chwilowo. Jest dla mnie cudowna. Idziemy via Grays Inn, Hand Court. Kasia bierze bus. [?] do Kings Cross. Milczymy; nie mamy sobie nic do powiedzenia. Tram. Zaczynam mówić. Nic sentyment[alnie] ale morał. Wartość tych rzeczy; [?] się nimi przez cały czas na przyszłość. Tak musiało się stać; straszne cierpienie. Trochę się mieszam; z jednej strony mówię o konieczności tego co się stało, z drugiej o strasznych cierpieniach. Chcę żeby jej było dobrze, żeby miała dzieci. Zapewniam ją o mojej istotnej przyjaźni. Żegnamy się u bramki jej domu.

Jestem potwornie przemęczony, reakcja przeciw szlachetności. Wczoraj we Wtorek, mam silne poczucie niemożliwości głębszego z nią stosunku; dlaczego ona nic nie mówi, dlaczego jest beznadziejnie bierna? Ja jestem przykuty do niej jedynie zmysłowem przywiązaniem. Ogarnia mnie potworny sentymentalizm. Wszystko co z nią związane, co związane z [?], pies, dom, szczegóły i głupstwa, nabierają olbrzymiej wartości. Rano pracuję w domu, piszę listy; potem do Derryego, via Hall do [London] School [of Economics and Political Science], wykład Seligm[ana]. Przybory u Kodaka. Klisze od Curtisa. Robię trochę niemieckiej prasy. [?] Hadley. Kolaćja u Seligm[ana]. Dr Strong. N[owa] Gwinea zaczyna mnie naprawdę interesować. Czuję się trochę lepiej. Robiłem b. dużo gimn[astyki] i przemęczyłem się fizycznie. To mi robi doskonale. Idąc do Seligm[ana] miałem szalony sentyment i tęsknotę za tem, co było, żal, że się tak stało z silnem poczuciem nieistotności tego i bez metafizycznych [?] zmysłowości. Chciałem płakać. Ale ten stan jest łatwiejszy do opanowania.

Dziś dobrze spałem; śniłem o niej b. wyraźnie; śnił mi się Aug[ust] Witkowski. Sentyment wyłazi często, ale [?] tendencja nie myślenia, zamknięcia tego i nie widzenia się z nią, choć wiem, że tego au fond szalenie pragnę i wyglądam.

Czwartek 21.V.14.

Wczoraj rano chodzę po sprawunkach i interesach (Borsano, okulary, aparat, krawiec, Ryman); zmęczenie, wykład Seligm[ana]; w domu pracuję trochę i piszę listy. Już popoł[udniu] zaczyna mnie brać straszna chandra za nią. Tym razem nieodróżniczowany sentymentalizm. Poczucie bezwzględnej pustki tego co jest teraz. Absolutnie nic nie ma. Straszna tęsknota za tem co było. Wizje rzeczy minionych. Przypominam z jasności halucynacyi chwile, kiedy ona wpa-

dła do mnie, w ciemnofioletowym aksamitnym kostiumie i kapelusiku małym, słomianym z jasnymi kwiatkami. Podnosiła wualkę i dawała mi swe usta. Byliśmy tak strasznie zżyci, tak strasznie bliscy sobie. Tak dobrze nam było. Jej obecność działała na mnie jak morze. Olbrzymia pustka w której można odnajdować samego siebie, a która wiecznie milczy.

Dziś znowuż mam takie przebłyski wizji przeszłości. Memcia i powroty busem. Żle mi jest niepomierne. Wycinam żywe ciało z mej duszy. Jestem do niej szalenie przywiązany. – Nie mogę płakać, jestem blizki łez, ale jakieś poczucie ambicji wobec samego siebie powstrzymuje. – Chciałbym jeszcze z nią mówić; chciałem nawet obiecać jej, łudzić ją przyszłością. Ale w chwilach jasnowidzenia wiem, że nic mnie z nią wewnątrznie nie łączy, że absolutnie bym jej nie mógł zrozumieć, ani ona mnie. Wieczorem piszę listy; dostaję list od Stasia; idę do Bor[eniusa]. Bor[enius] b. nieprzyjemny; w ogóle tracę do niego serce. Wieczór straszny; wije się w cierpieniach i przeklinam chwilę, w kt[órej] zerwałem z nią; wiem z drugiej strony, że bym nie był mógł wytrzymać na jej łasce i niełasce. Na łasce i niełasce jej kaprysów, bo te fluktuacje nie miały w sobie nic głębszego. A może? Może tamten jej stosunek wszystko psuł? Rano też źle się czuję, strasznie.

#### 14. Czerwca, na pokładzie.

Obecnie jestem już w drodze. Po meczących i pustoszących przygotowaniach, po licznych wahaniach uczucia do *t* – po niepokoju i wahaniach w sprawie Stasia, jadę z nim – i czuję się, w ogóle mówiąc, fatalnie; choć może nie. Czuję się dość marnie w tej właśnie chwili. W ogóle czuję się nie-źle. Przeszedłem duże upojenie turystyczne zwiedzając Paryż i Neapol. Okręt i 2. klasa dość mi się nie podoba, gdyż utrudnia w dość dużym stopniu bezpośrednie zetknięcie się z morzem; ale mam nadzieję, że to przewyciężę. Stosunek ze St[asiem] b. dobry na ogół i jestem niezmiernie zadowolony że jest ze mną ze względu na samego siebie.

#### Poniedziałek 15.VI.14.

tęsknota za *t* nie opuszcza mnie. Wiem dobrze, że ona mnie nie kocha zbyt głęboko, ażeby móżdż na tem zbudować coś trwałego. Wspomnienia niektórych chwil, niektórych rzeczy które mi powiedziała zatruły na zawsze źródło najgłębszej tęsknoty, najistotniejszego pożądanego. Ale niemniej jest coś dziwnego, jakaś ukryta wiara w jej wartość, jakaś sprzeczność między tem, co wiem o niej z jej powiedzeń a między tem, co w niej przeczuwam. Z jej zachowania się byłbym mógł sądzić, że kocha mnie ona naprawdę i że rozstanie się ze mną jest dla niej prawdziwym ciosem. Niemniej jednak mam pewność że gdyby mnie kochała, byłaby opuściła wszystko dla mnie.

Spisanie wypadków ostatnich czasów z Londynu.

W Sobotę 23. idę do *t*; przychodzi koło 12=tej i pół, w morning [?]. Ona w jasnej różowej sukni, bardzo ładna i uderza mnie boleśnie urokiem swego ciała. Mówimy najpród niesentymentalnie; ona że podczas mojej nieobecności chciała wrócić do niego i w ten sposób odkupić w stosunku do mnie i do niego to, co się stało, ja mówię, że tak powinna zrobić, że powinna o mnie zapomnieć, a starać się iść ku prostocie i obowiązki. Ona o rozdwojeniu, o kłamstwie,

zawartem we wszystkim. – Potem idziemy na spacer; bez wielkiej radości, bo czuję, że już się wszystko skończyło, że nic nie mamy sobie do powiedzenia. Ale trudno mi się z nią rozstać; słabość. Idziemy piechotą, nasze domki. Potem mówię o tem, jak schodziłem na dół tamtędy, idąc do Miss Fry. Przypomnienia sentymentalne z Krakowa; o przepojeniu retrospektywnem Krakowa tęsknotą za nią. Idziemy na [Hampstead] Heath, do Gold. Green (czy Hill) Park. Mówię jej o moim nastroju podróży; o tem, że będę wiozł tęsknotę ze sobą. Łapie nas deszcz silny. Dobrze nam przez te parę godzin. Lunch w tamtej kawiarni. Idziemy po parku, który ona mi pokazuje. Wysoka trawa w sadzie; wspomnienia z Polski, przepelnione moją miłością ku niej. Idziemy naokoło; rwie kwiaty. Poczucie wspólności nastroju, zlanie się w odniesieniu się do przyrody; śliczne drzewka na trawnikach. Po deszczu, żółtawe światło przedziera się przez chmury; radosny nastrój popołudnia, budzącego się do pogody po dżdżystym ranku. Wychodzimy; wspominam datę 8. Czerwca. Ona z pewnym kabotyństwem mówi „kto wie co się może stać do 8.” Idziemy ku G.S. Ona smutna, z chmurą na oczach; ja dziś spokojny, dobrze mi z nią. Jedziemy busem przez Finchley Rd., przypominając rzeczy minione; smutek rozpierzchających się środowisk ludzkich; żal za milieu tej zimy.

Miss Fry; garden party; tłok ludzi, rozmawiających, jak na banhofie. Muzyka, myśli o *t*. – Mama w Oxf[ord] Circ[us] mówi mi o Stasiu; bardzo się cieszę; to podnosi mój nastrój. Jazda do Wrythów; Dr Harrison; zabawki japońskie; licytacja rzeczy papuańskich. W kółku odczyt Dąbrowskiego. *t* nie ma, speszenie.

Niedziela 24. Przyjazd Stasia. Kasia przychodzi o 12=tej. Spotkanie z Westerm[arckiem] w [?]. Lunch u Singerów; Tor-day[?]; przemęczenie i kongestia. Jazda z Kasią ku Marble Arch; parę kroków po Parku; u Isobel Kirkwood. Jazda do Grahama Wallasa. Kolacja. Potem czytają mi wiersze, doskonałe w istocie. Powrót tramem do domu.

Poniedz[iatek] 25. Z M=[?] i Stasiem u Gamaga'a. Cały dzień potem latam ze Stasiem. Wieczorem spotkanie z Seligm[anem] i Westermarckiem w School. Staś idzie do Wa[?], ja na Seminarjum, gdzie mowa o Bergsonie. Partseminarjum, Seligman, Lewiński, Appelberg.

We Wtorek mam ochotę zatelefonować do *t* – nie telefonuję; ani we Środę, idę popołudniu do Gold[?] niema *t*; speszenie; obiad Westermarck. Rozmowa. Miss Rhodes i M=rs Seligman; potem z Shoudem i M. Whitem.

Czwartek i Piątek latam intensywnie za interesami – ostatnie dni do załatwienia wszystkiego.

Sobota; rano telef[onuję] do *t*, potem wycieczka do Monda<sup>37</sup>. Rozmawiam z Seligmanem o interesach, u Monda b. nieciekawie. Powrotną drogą rozmawiam z Seligma[anem] o rzeczach subiektywnych. Żuławski wieczorem zachodzi do nas. Telef[onuję] do *t* o możliwości przyjscia. Żuł[awski] przychodzi do nas w ogóle b. często, co rano i wieczór i jest regularną feature naszego życia. Pokój zamieniony w skład przedmiotów tropikalnych; przymierzanie ubrań, kasków, pakowanie. Wszystko to z pewnym niepokojem i wahaniem: „co z tego wszystkiego będzie?”

Niedziela. Przedpo[łudnie] do D=ra Stronga, który pokazuje nam swoje kurjoza papuańskie; obiad w domu, potem idziemy ze Stasiem do Seligm[ana], do Bluml., gdzie Mi-sza[?] jej mąż i 2 Niemeczki; potem do Reting[erów]. Sztucz-

ki karciane; przekomarżanie się z Kasią; jestem b. niesympatyczny. Powrót do domu. Speszenie przez Stasia.

Poniedziałek 1.VI. Rano pisanie etc. Popo[łudniu] przychodzą Kasia i t; Staś i Żu[awski] wychodzą na Heath. Odprawiam t aż do rogu Englands Lane; układamy spacer na wieczór; kwestya pożyczki pieniędzy. Staś ze mną u Miss Fry. Rozmowa z nią, działa na mnie podnosząco. Nie mam szwungu na t. Spotykam ją u bramki jej domu. Jest lekkomyślna; czuć od niej alkohol. Coś się [?]; biorę ją wpół; patrzemy na ludzi tańczących; siedzimy na ławce tuląc się. Czuję, że popełniam coś złego, ale nie jestem w tem sercem; nie mogę; już ta droga nie prowadzi do raj. Idziemy na dół, jak wtedy z Wańdzą. Mówię jej, że mnie nie kocha; ona nie przychodzi; mówię, że mnie już nie mogła więcej kochać, że odeszła ode mnie; że nie byłibyśmy byli szczęśliwi ze sobą (mówi to i przedtem w domu usiebie tamtego popołudnia, kiedyś byli na Golden Hill). Idziemy ku stawkowi; czuję się b. źle. Przypominamy tamten wieczór. Ostatni raz tulę ją całą do siebie, żegnamy się, ona płacze. Ja czuję, że już nie jestem jej kochankiem. Szybko przez Parliament Hill do domu. Zaczyna mi mówić najstraszniejsze rzeczy; że czuję, że pójdzie na dno; że nic ją nie bierze naprawdę, że ulega każdemu wrażeniu, każdemu nastrojowi; że odejdzie od męża. Mam potworne poczucie prawdziwości tego; potwierdzenia złych obaw, że jest ona au fond po prostu kurwą. Staram się przeczyć temu, walczyć. Idziemy znów aleją cieniistą (Bels[ize] Park Av=e) i ul[icą] Bel[ize] P=k Gdns, tą samą drogą, gdzie poprzednio już zrobiła mi tamto straszne wyznanie. Żegnamy się z nią na rogu Engl[ands] Lane z pewną ulgą.

Wtorek 2. Popołudniu Kasia i t przychodzą. Staś. Odprawiam t [?] ale bez prawdziwego sentymentu.

We Środe 3. w południe zajście ze Stasiem, które psuje mi humor na pewien czas, bo ostatecznie muszę przyznać, że ma on do pewnego stopnia rację. – Aha zapomniałem napisać jeszcze o jednym spacerze z t; zdaje mi się we Wtorek 26. Staś był ze mną i wstąpiliśmy do School, gdzie widziałem się z Seligm[anem] potem po pudełko do blacharza<sup>38</sup>, potem natknąłem się na Ret[ingera] i spiknąłem go ze Stasiem. Z t koło Waterloo bridge. Idziemy embankmentem; ona w kapelusiku z piórkami i w brązowym quasi-skórzanym kostjumie. Lunch u Lyonsa; potem do Westminster Abbey, Raz jeszcze rozpoczynam z nią rozmowę o moim zasadniczym do niej stosunku. W małym podwórku, gdzie stoją duże drzewa i bije miły wodotrysk mówimy o mieście, o jego złym wpływie; muszę z niej wyciągać zeznania. Potem idziemy przez Green Park czy raczej St. James Park; mówię jej o jej miłości i pytam o istotę tego co przechodziła; ona, dlaczego ją właściwie męczę; ja jej się oświadczam, bez żądania odpowiedzi. Ona nic nie mówi; rozstajemy się.

Któregoś znów dnia, Wtorek 3., spacer do St James Parku; mówi mi o swoich kłopotach finansowych; o tem żeby chciała pracować zarobkowo; o dymisji męża i.t.p. Nastrój beznadziejny. Potem znów mówi o swej manii samobójczej; o niechęci do życia, o niemożności radowania się niem. To wszystko morduje mnie strasznie; straszna bolesność odczuwania, że ta kobieta, która dla mnie jest symbolem piękna i rozkoszy życia nie widzi we mnie nic, że nic jej dać nie mogę, że nie może się ona na mnie oprzeć. Cios zarówno dla najgłębszej miłości własnej, jak też i dla witalnego ukochania jej. Ja jej często mówię o najgłębszej miłości, o wartości jaką człowiek oddający się w ukochaniu musi posiadać. O tem, że

ja jej oddawałem się w ten sposób, szczerzy i bezpośrednio. Ona na to wszystko nie reaguje. Tego dnia zapominam czeka w Orient Line; ona na mnie tam czeka – spotkaliśmy się też tam. Potem idę – wysiadam na Tavistock Place, tak jak dawniej – spotkać Miss Fry & Mrs Seligm[an]. Wieczór u Kasi; tęsknota za t; wspomnienia z Lonhaster Gate.

Czwartek 4. Po wizycie u dentysty spotykamy się w Nat[ural] History Museum. Potem po Hyde Parku; znów o rzeczach istotnych; idziemy ku H[yde] P[ark] corner. Znów jej pustka, brak głębszych rzeczy dla mnie i beznadziejność. Krwotok w A. & N. Obiad u Seligm[ana] z Mondem. Spodziewam się jej trochę w domu; nie przychodzi.

Piątek 5. Popo[łudniu] fotografuję ją. Przychodzi mąż; speszenie; nie zapraszam go na wieczór. Wywoływanie. Wieczór Kasia, sufrażystki; t, Memcia i siostra. Układamy r.v.[?] na Woburn Square. Staś przychodzi.

Sobota 6. Na Woburn Square; ona się spaźnia; jestem szalenie wyczerpany dentystą rannym, kt[óry] 2 razy mnie narokotyzował. Idziemy ku Tot[enham] C[ourt] Rd. 24 do Camden Town; uliczką „naszą” Reg[ent] P=k siedzimy tam gdzie kiedyś samotny czytałem Return; potem na drugą stronę; jestem tak zmęczony, że wprost drzymię. Nic prawie nie mówimy; pożegnalny spacer. Chce mnie zobaczyć jeszcze w Pon[iedziałek] Wieczór w domu.

Niedziela 7. Rano kopuję jej fotografie i składam rzeczy. Po południu telefonuję do Kasi. K[asia] z nami do Seligm[anów]. Bajeczny wieczór wilgotny, świeży i [?]. Przepojone światłem mgły przenikają wszystko; jasna zieloność drzew odbija cudownie i tryumfuje w zachodzącym słońcu. Straszna tęsknota łzawa i tępa za nią. Idziemy z Mamą wzdłuż Adelaide Rd. Miejsca przepojone jej obecnością. U Miss Fry ostatnia wizyta.

Poniedziałek 8. Ostatni dzień w Londynie. Zęby męczą mnie strasznie i niepokoją. Rano idę ze Stasiem do Anthropol[ogical] Inst[itute], do Banku, do Museum, wracam do domu; fotografując M=ę [Mamę?] łamię statyw fotograficzny. Jedziemy do okulisty. O 2½ -ej z t w Brit[ish] M[useum]; czeka na mnie idziemy do fotografa; kupuję czapkę i krawat. Potem herbata w E[?] koło H[yde] P[arku]. Spacer po Hyde Parku. Siedzimy w mojej dawnej okolicy. Znów bolesne rozmowy; o jej prawdziwej miłości. Znów mi mówi o swym bezwładzie; o biernym beznadziejnym stosunku do męża. Powinna mieszkać na wsi; taki ma zamiar. Mówi mi, że kwestję dziecka zdała na łaskę i niełaskę losu. – to mnie strasznie peszy. Bierzymy pociąg w H[yde] P[arku] ona jedzie do domu, ja do School, gdzie ostatni obiad z Westermarckiem, Seligm[anem] i [?]. W domu Mama sama; przychodzi t. Odprawiam ją; ostatni pocałunek w domu i przy wsiadaniu do trama. Mówi mi, że będzie się starała walczyć z biernością i upadkiem; ja jej mówię, że będzie ona zawsze moim ideałem, i że powinno ją to zobowiązać do walki ze sobą, dodać siłę. Chodzimy znów po małym skwerku koło Kings + [Cross], tam gdzieś chodzili kiedyś po Richmond. Ostatni raz widzę ją wchodzącą na tram. W domu Mama sama, żegnamy się; bierze mnie chwilowa silna chandra.

Wtorek 9. ostatni ranek. Silny ból zębów; ponura perspektywa na przyszłość. Wrażenie zupełnej bezsensowności tej podróży. Budzę Stasia, raz jeszcze idę się pożegnać z naszym ogródkiem. Szukam taxa. Na stacyi Westermarck, Memcia. – Jazda do Folkestone smutna. Czuję nagle, że jestem pozostawiony swojemu losowi na wspólkę ze Stasiem. Potem droga

przypomina mi wyprawę z Seligm[anem] i wtedy z *t* do Conr[ada]. W Folkestone stoję długo i patrzę na znikające brzegi Anglii, na lewo od Piern idzie bulwar nad morzem, pod ogródkiem, biegnącym wzdłuż pagórka. Potem domki – to Sandgate, potem dłuższa przerwa i widać znów rozrzucone duże domy. Tam chodziliśmy z nią razem, tam w mroźny wieczór, siadaliśmy przy blasku księżyca nad brzegiem szumiącego morza.

Szalony ból zęba i przygnębienie na cudnem, gładkiem, lśniącym morzu. Brzeg francuski szary i mało ciekawy. Jazda b. szybkim pociągiem do Paryża. Bujna zieloność; burza. W Paryżu Żuł[awski] na stacyi, taxim jedziemy na Gare de Lyon. Miasto przeładowane ruchem, domami, nawet zielonością. Wszystko ciągle się miesza, kołuje, zachacza [sic] o siebie; spojrzenia ludzkie, złe humory i kłótnie, flirty uliczne, mansardki domów, tramwaje, drzewa i latarnie robią wrażenie jednej zbitej kalejdoskopowej masy, w której nie można się wprost zorientować. Przytem Paryż jest cudowny. Zachwygam się już przy Gare de Lyon. Oddajemy rzeczy, bierzemy hotel i idziemy do Metro. Robi wrażenie maskarady w burdelu, po Londynie. Kakofonja zapachów, ubrań, twarzy i ruchów.

U Żuł[awskich] rozmowa z Kazią, która wygląda b. efektownie. Potem kolacja; potem ze Stasiem przez Avenue de l'Observatoire, Boulevard, rue Denfert Rochereau do Strugów.<sup>39</sup> Tam Tadzio. – Potem znów Bul' de [?] do Sekwany. Cicha, ciemna i czysta płynie pośród dużych cienistych drzew. Dziwny spokój i opuszczenie; jakbyśmy chodzili sami, jakby olbrzymie miasto było tylko akcesorium artystycznym dla podniesienia niezmiernego i nieopisanego skupienia chwili i miejsca. Dawne wspomnienia; cały urok Paryża, odbitego w tyłu dziełach sztuki, w tyłu wspomnieniach historycznych. Wciąż chodzę z nią, z jej cieniem, z jej ideałem, z taką jakąbym ją chciał mieć. – Pont des Beaux Arts – którym codziennie chodziłem na Paryż, mając 15 lat. Księżyc wschodzi, czerwony, wielki nad ciemną rzeką. Ciemne sylwety gmachów zarysowują się wyraźniej. Idziemy przez Luvre na place du Theater. Obchodzimy Palais Royal, potem av. de l'Opera ku bulwarom, zkąd bierzemy bus do G[are] d[e] L[yon].

Na 2 dzień do Żuł[awskich] potem place de la Concorde, pola Elizejskiego, gdzie obserwujemy av. de l'Etoile i automobile. Nastrój radosny, upojenie miastem; Kazia opowiada mi o swoim pobycie w Paryżu i wyraża się o Stasiu. W Luvrze Gioconda i starożytności egipskie. Staś okazuje znaki niepokoju. Sami zostajemy z Kazią; potem idziemy na lunch, gdzie dyskusja o sufrażystkach. Kupienie parasola, idziemy znów na place du Theatre, potem przez Avenue Opéra do Cafe de la Paix. Z tamtąd busem do Notre Dame; wieża jakaś starożytna na placu, Saint Chapelle, Notre Dame. Idziemy jeszcze wzdłuż Quai bukinistów. Żegnamy się na Bul. Michu i przez Quai d'Orsay do G[are] d[e] L[yon]. Laski pod Paryżem śliczne, Fointainbleau; pragnąłbym jeszcze zwiedzić Francję.

Na drugi dzień (po kiepsko przespanej i przebanardowanej[?] nocy) bardzo gorące, białym kirem okryte południe Francji; morze śródziemne; spacer po Marsylii, która charmuje [charm – urzekać] brudem i ruiną zupełnie południową. Idziemy małymi uliczkami gdzie rozmamrane Włoszki, niektóre prześlizne czarownice, schodzą się do fabryk. Droga do Toulonu wśród ślicznej, żyznej okolicy o dużych, cieni-

stych drzewach, przypomina mi równiny Anatolii, koło [?]. Toulon; małe uliczki, placyki porośnięte platanami; upalny Quai Cronstadt. Włóczymy się, szalenie zmęczeni. Embarkacja; dziwne uczucie, że się tak nic nie dzieje, że nie ma właściwie chwili odjazdu. Śliczna zatoka Toulonu. 2. dzień, budzę się kiedy przejeżdżamy koło południowego cypla Korsyki; potem Elba, Monte Christo, Gilia itp. Całe morze wysłane wypami. Piszę listy do Mamy. Bardzo mi się niepodoba statek i towarzystwo; biskup N[owej] Gwinei; małpowaty Australijczyk. Czas przepływa wolno i tępo.

Przyjazd do Neapolu b. rano. Wsiadamy; jazda do via Toledo; droga na ponte. Tram do Posillipo. Zachwygam się nad Neapolem; nad malowniczością; nad typami ludzi cudownymi, nad życiem ulicznym. Szalona sympatja do Włochów, do włoskiego. Ten sam spacer, który zrobiłem z Mamą, zaraz po odnalezieniu jej w Neapolu. Tramek na Posillipo Capo; potem ku Nisida. Dryndą do Pozzuoli. Cudna zatoka Baial. Dawne wspomnienia, cudowne widoki; przerwa w monotonii podróży, wszystko to usposabia mnie bajecznie receptywnie. Cieszę się wszystkim. Winnicami, gdzie kryją się domki małe i stare, tak prymitywne i artystyczne, że czuć na nich rafinadę starożytnej kultury niezmiernie od tysięcy do dziś dnia. Solfatara drzemiąca w upale słońca południowego. Ponura pustka południowa. Potem jedziemy górą, z widokiem na Camaldoli i na zatokę cudną Campagna. Powrót tramem lunch w Giardini di Torino b. marny. Jedziemy Zatoką napoleońską. Ślicznie położone Sorrento nad skałami śromymi, wśród lasków pinjowych; przepiękne wioski dalsze, [?] ku kołcowi półwyspu. Widzę Pompei. Przypominam owe bajeczne spacerki, odbywane 10 lat temu samotnie w Campagnii napoleońskiej. Zatoka Salerneńska ginie we mgle; widać tylko Positano i Praiano. – Rozmowa z Howarth'em i Ackworth'em.

Następny dzień (Niedziela 14.). Droga wzdłuż brzegów Kalabrii; dzikie, opuszczone, nędzne piaszczyste wydmy u stóp pagórków porośniętych oliwkami. Miejsca, gdzie dawno uczył Pitagoras i kwitły miasta Wielkiej Grecji! Tarambo; z gromadką Anglików, otoczeni bandą dzieci idziemy małymi uliczkami gdzie jak małpki za kraty wyglądają kobiety i dziewczyny. Ciekawe, nieregularnie łamane, wązkie uliczki; duże bramy, podwórza monumentalne. Wszystko bardzo ciekawe. Ładna kobieta (Anielka) kokietuje mnie i trochę mnie bierze. Potem spacer z 3 autochtonami; włoski idzie mi dość dobrze. Powrót na statek.

Środa 17.VI.14.

Dopiero 6. dzień na statku i to z przerwami, a mam już tego całkiem dosyć. Czuję się mocno zderutowany [może wykorzeniony]; nie widzę jasno dokąd idę; nie czuję w sobie celu i sensu. Fizycznie czuję się dość podle. Mam jakieś zaziębienie, ból gardła i kaszel, pomimo szalonych upałów. Kołysanie daje mi też lekki ból głowy. W perspektywie przyszłości nie widzę też jasno, jak będę się czuł w klimacie Nowej Gwinei. Hano – [?] adelonte!

Mam niezmiernie częste napady sentymentalizmu, centrujące się około *t*. Patrząc dziś na małą dziewczynkę, siedzącą przede mną, miałem łzy w oczach. Instykt ojcowski zaczyna się budzić. Tłumię prostytucyjne instynkty w samym zarodku, nawet jako marzenia. Chcę dojść do bezwzględnej czystości płciowej przez ten czas. Inaczej nie ma się prawa na małżeństwo i na szczęście w małżeństwie.

Co do mojej obecnej pozycji, to muszę, pomimo upałów i niezdrovia, powoli ale systematycznie pracować celowo. Przede wszystkim wciągnąć w to Stasia.

18.VI.14.

Wczoraj i dzisiaj czuję się znacznie lepiej; pogodzony z losem i właściwie zaaklimatyzowany na statku. Przedwczoraj wieczór dojazd do Port Saïd. Poczucie pełnego morza wprost Deltę Nil[u]. Ostatecznie morze zawsze takie samo; barwy zachodu te same. A jednak zawsze przeżywa się specyficzną chwilą, określoną położeniem geograficznym. Patrząc na morze w danym punkcie ma się zupełnie specyficzne wrażenie. Widok form z daleka: statek pilota. Dojazd do Port Saïd. Napad dzikusów na statek. Arabski język. Jazda na ład. Kupowanie kartek i marek. Ulica bazarowa, oświetlona; cudny zapach drzew i potworny smród uliczek; duże ciemne domy o gankach okrężnych. Zdaleka słychać muzykę arabską. Idziemy; miasteczko arabskie. Kawiarnie, handlarze owoców. [??] muzyką; olbrzymi murzyn, Shillah chyba?

Cieszę się wspomnieniami, jakie to przywodzi; przeżywam nowość tego razem ze Stasiem. Kiepska noc; jazda przez kanał. Po prawej stronie Egipt; widocznie nawodniony sztucznie; od czasu do czasu gaje tamaryszkowe; oazy palmowe; nad tem fioletowe pasma gór. Po prawej stronie czysta pustynia; piaski lotne całkiem nagie; albo też porośnięte rzadkimi krzaczkami karłowatymi. Błask oślepiający. Między tem jasno zielone [?] wody kanału; fellahi arabskie. Olbrzymi statek ledwo się mieści; dziwne jest to przesunięcie morskiego koloru poprzez samo serce pustyni. Cudna gra kolorów po wyjeździe z Suez. Turkusowe morze; fioletowe góry; pomarańczowa pustynia, różowa mgła nad morzem. Góry Egiptu, fioletowe z twardego kamienia (piaskowca czy granitu) i [?] góry półwyspu Synai.

Rano siedzę i patrzę na kanał; popołudniu i rano zresztą [też] gadam z Gibonem australskim i z Miss London; a potem z Francuzką i z 2 Francuzami; wieczorem bal i picie lemoniady z Francuzami. –

Sobota 19. 20. VI. 14.

Zanadto wlałem w towarzystwo które tu kwitnie. Ciągłe zadaje się z Francuzką i drem Franc[uskim] (Żydkiem) z 1=szej oraz z małpą australską, wobec której wypuszczam zresztą dużo snobizmu naukowego. Z mało żyję z morzem, ze zjawiskami astronomicznymi i ciepłymi; z mało pracuję. Trzeba to zreformować. Właściwie nie czuję się tak bardzo źle. W nocy śpiam dość kiepsko i dziś miałem sny ze strachem, które wskazują na osłabienie serca. Nad ranem, kiedy trzeba wstać, mam chwile przykrego osłabienia; czuję ogólne zmęczenie i zmęczenie oczu. Mam wrażenie, że nic nie będę mógł zrobić oraz duszność. Ale po wstaniu i ubraniu się, czuję się znacznie lepiej i mogę być kompletnie skupiony.

Chwile tęsknoty przychodzą; mam jakąś wyidealizowaną Toskę, dobrą, mądrą, kochającą, prawdziwie i głęboko kochającą, do której wszystkie moje instynkty erotyczne i znacznie silniej teraz, rodzinne, mnie pchają. Czuję, że ona jest uzupełnieniem mnie doskonałym, że jest jedynym wcieleniem moich tęsknot za ustalonym stosunkiem do kobiety. Niestety, analiza nie potwierdza tego intuicyjnego obrazu. Wiara, którą mam, i którą żyję nie zostaje potwierdzona wiedzą. Wiem przede wszystkim, że ona mnie nie kocha, że nie poświęciłaby dla mnie wszystkiego; wiem też, że ja jej nie ufam, że

[przekreślone: dostatecznie mi] jesteśmy właściwie nieprzenikliwi dla siebie wzajemnie. O szczęściu nie mogłoby być mowy, ani o prawdziwej miłości. Dobrze się stało, że teraz odjeżdżam, że inne rzeczy mnie zaabsorbują, że będę mógł z łatwością i czysto przejść poprzez to wszystko. Zresztą wiem dobrze, że nawet gdybym był został, byłbym był musiał odejść od niej; coraz wyraźniej [odbierałem?] pustkę i obcość jej obecności, coraz silniej czułem, że jeżeli ona mnie kocha, to temsamem traci dla mnie wartość.

Niestety zbyt mało myślę o jedynej osobie, która posiada dla mnie istotną i trwałą wartość i która naprawdę dba o mnie. Matka teraz na pewno odczuwa niezmiernie silnie brak mnie, a ja – Straszna rzecz ta jednostronność stosunku rodziców do dzieci. Teraz, kiedy uczucia ojcowskie [pow. być: ojcowski] we mnie się budzą zaczynam już na własnej skórze niejako odczuwać tę tragedję. –

Życie na statku: rano koło 7=ej budzą mnie na kąpiel. Ubieram się, potem idę na śniadanie. Rozmowa z Francuzką i z rodziną australską siedzącą naprzeciwko nas. Potem idę na pokład i przedpołudniem piszę dziennik, trochę czytam. Ale przerywam często, spaceruję, gadam i gram w sporty. Lunch; potem słońce przechodzi na prawą stronę, zmieniam pokład i czytam coś innego. Czytanie idzie mi powoli kiepsko. Grzebię się w Notes & Queries. Trochę rozmawiam ze Stasiem, chociaż mniej teraz, niż przedtem; wczoraj Staś był dość ponury.

Niedziela 21.VI.14.

Na morzu Czerwonym, nawprost Jebel Tair [wyspa Jabal at Tair] – Upał trwa wciąż jeszcze. Dziś rano czułem się trochę lepiej i spałem też trochę lepiej. Ale wczoraj wieczór miałem chwile duszności i strachu; i musiałem opanować poczucie paniczne, pochodzące od serca. Rano biorę zimną kąpiel. Wczoraj pracowałem rano nieźle; ale popołudniu zabrałem się do gramatyki i tak mnie upał zmógł, że zasnąłem i obudziłem się zupełnie zniszczony. Potem jednak pracowałem znowu i czułem się nienajgorzej. Monotonia statku już mnie tak nie nuży, przyzwyczailem się też do niektórych podróży, mogę nawet powiedzieć, że ich lubię. Rozmawiam głównie z Francuzami i Gibonem. Staś wczoraj wieczór skomponował b. ładną melodię; spieszyło mnie to trochę, gdyż moja impotencja artystyczna zawsze mi dolega. Zarówno w stosunkach do kobiety, jak i w stosunku do życia jest to rzecz poprzez którą b. trudno mi się przedostać.

Ten dzień był jednak prawie że najgorszy. Czułem się strasznie przez Niedzielę i Poniedziałek. Wściekłe duszenie, niepokój i wstręt. Stan podobny do tego fatalnego lata w Londynie. – [?] w nocy z Poniedziałku na Wtorek. Potem choroba morska. Pustka uczuciowa i umysłowa. Tylko czuję się ździebełko lepiej. Połamanie okularów. Powolna rekonwalescencja. Widywanie się z Francuzami. Czytam Jima [Lorda Jima], który chwilami robi wściekłe wrażenie. i Master of Ballantone. –

[?], 29.VI.14.

Wczoraj rano po kiepskiej nocy, wychodzę na pokład; morze zielone (takie było przez całą Sobotę i czułem bliskość Indyi i Ceylonu). Mgły nad lądem i chmury w głębi. Nie cieszę się na Ceylon. Boję się próby klimatu i czuję się zmęczony. Jazda [?]. Słońce przypieka. Debarkoder = altanka dwupiętrowa. Czerwone gmachy nad brzegiem. Upał; nogi ledwo

włokę. Idę do Fergusona. Potem nad morze. 1. [pierwszy] widok kwiatów zwrotnikowych. Siedzimy nad morzem; rozmowa z Syngalezem. Morze zielone, przewala się dużymi falami. Riksze. Jedziemy otwartymi polami; duże gmachy angielskie. Syngalezi półnady: w białych i czerwonych szmatach; ciemne oczy, zapatrzoną w dal nieznaną. Prawie nie widać białych. Chłopcy syng[alezcy grają] w piłkę nożną. Bydło garbate. Małe domki, kryte dachówką; sklepiki otwarte całą szerokością. Szeroka ulica, domki zasłonięte matami lub drewnianą kratką. Typy w turbanach. Pogrzeb mużulmański. Victoria Park. Bombay olbrzymi; drzewa duże o kwiatach purpurowych; trawa dziwna, czerwona ziemia; odczucie odmienności tropikalnej flory. Powrót nad jeziorem, palmy. Mała i nędzna świątynia buddyjska. Spotkanie Lewnia i Hériteau; jazda na statek; lunch; spóźnienie na kolej. Tramwajem do Cinnamon Gds. Małe uliczki o dziwnym charakterze; targi owocowe; drzewo z obrazkiem Buddy; tłum różnobarwny. Kobiety o płaskich nosach, poprzekłuwanych złotymi kolczykami. Kapłani buddyjscy w żółtych szmatach, kurwy (?) święte w Czerwonych sukniach. Wysiadamy, [?] idziemy przez brudne podwórka, między domkami; potem szeroka ulicą. Zbaczamy między bungallows; wszędzie uderza wściekła bujność flory. Potem boczną dróżką; otwierają się pola; koło morza; wściekle drzewo z pękiem sznurków, zwieszających się i z ljanami. Poprzez domki krajowców w ogródkach na pola golfowe. Z daleka ogrody palmowe i młaki. Wracamy torem kolejowym. Bierzymy pociąg. Patrzę głównie na kobiety; z ciekawością, ale bez erotomanii. Potem uliczkę skośną; wy chodzimy na plac, kupujemy banany. W domu piję lemon squash; jazda do portu i kolacja w kawiarni syngalezkiej. Krótki spacer w native quarter; przemęczenie.

Mandauh & Lawalla [?] – Sobota 4. Lipca.

Jeden dopiero tydzień i to nie cały; ledwo przepołowiłem czas. Wciąż silne zmęczenie i ociężałość. Umysł zupełnie przyćmiony; nie potrafiłbym pracować intensywnie; nie potrafiłbym np. napisać artykułu. – Hotel w Colombo; weranda szeroka, przykryte podwórza; otwarte pokoje jadalne; dalej korytarz i pokoje sypialne. Śpię trochę lepiej niż na statku pod moskitierą 1. [pierwszą] noc. Staś nie śpi; wstaje i zapala światło. Rano o 6½ śniadanie; potem tramem na Manadana. Czarne małpy udające Europejczyków w tramie dają mi poczucie wyższości rasy białej. Za Colombo rozpoczynają się zaraz lasy podzwrotnikowe, a raczej ogrody uprawne; palmy dominują i nadają charakter; głównie palma kokosowa. Pola ryżowe zamieniają kraj w płytkie bagniska, przerywają ciągłość lasu wysokopiennego, nadają mu profil i urozmaicenie; szmaragdowe kępy drzew w miękkim zarysie wśród jasno zielonych płaszczyn.

Widzę po raz pierwszy białe kwiaty lotosu na bagniskach. Jedzie z nami Syngalez i pokazuje nam palmy kokosowe, areka nut, plantacje karczunku, herbaty; wymarłą plantację kawy. Pejzaż swoją dziwnością i innością męczy mnie zwłaszcza wobec [?] osłabienia. Zaczynam rozmawiać z Syngalezem. Za Polgahawela wjeżdżamy w góry. Z płaszczyny podnoszą się wydłużone przyzmy, jakby ogromne namioty zielone, ostre stożki, wyciągnięte w szpiczasty koniec, wyniosłe piramidy; Hakgala Peak prześlicznie wygląda w dali. Droga [?] zaczyna się wspinąć naokoło kotlin, wznoszących się szybko terasami pół ryżowych na dnie, i plantacjami palm po bokach. Widok staje się coraz szerszy. Olbrzymia pagoda piramidalna

Anagalla Peak wciąż dominuje pejzaż. Przejeżdżamy przez tunel; widok otwiera się na rozległą dolinę. Chmury gromadzą się coraz gęstsze; zasłaniają szczyty najwyższe; rzucają cień na dalsze plany. Grube góry o niezmiernie dziwnych kształtach [?] od południa (my wspinamy się po północnej stronie); widać kopułę [?] okrągłą, zupełnie zamek św. Anioła. Nad nią wyniosły peak, zakryty we mgle, dalej ku wschodowi, w głąb ładu samotna [?]. Dolina cała i wszystkie góry pokryte gęstym płaszczem roślinności; bliżej widać szaloną jej bujność; ziemia naga prześwieca tu i ówdzie na polach przygotowanych pod uprawę ryżu. Całość robi dziwne wrażenie z powodu ciężkiej, dusznej monotonii roślin bujnych uporczywie i bezlitośnie. Kształty na które różniczkuje się bliższy plan nie mniej obce, męczące i przykre. Palmy wylakierowane, świetne, wytworne – dla oka przyzwyczajonego do fantastycznej przypadkowości naszych drzew północnych – jakby ironicznie zastygłe w nienagannej symetrii i poprawności form. Obok nich, dla skompensowania tego spokoju i regularności, przyroda pozwala sobie na najdziwaczniejsze koszałki, figle i igraszki – znów jakby naumyślnie z wyrachowaną złośliwością chciała zbić z tropu, uniemożliwić zrozumienie, zlanie się człowieka z otoczeniem. W tym kraju, w którym brak powietrza, w którym człowiek wciąż dusi się i męczy, w którym ślamazarnieje i omdlewa psychicznie, wegetacja panująca bezwzględnie i wszechwładnie z całym okrucieństwem odmawia mu nawet platonicznego przygarnięcia, otuchy i pokrzepienia. Odpycha go zupełnie i bezlitośnie; z naciskiem zaznacza swoje jedynowładztwo. Nawet rozległe widoki są dość obce.

W Kandy deszcz; wsiadamy do powozu. Widok stawku. Jakaś cudowna, zaczarowana miejscowość. Straszna; przeznaczona na wypoczynek, na zapomnienie, na życie chwilą, tem co jest i minie – miejscowość pełna obietnic szczęścia. Stawek w ujścia szeroki, w górę węższy wije się wśród górtek małych, obrośniętych olbrzymimi drzewami. Jak sztuczny ogródek japoński, zabawka zrobiona rękami ludzkimi dla człowieka. W samej rzeczy jeziorko jest sztuczne. Hotel na zboczu wzgórza wyższego. Widać brzeg przeciwny. Naokoło biegnie droga obsadzona palmami o nagich, zielonych i szarych pniach gładkich. Olbrzymie akacje i mimozy; pnąca o ciemno niebieskich kwiatach, patrzących jasnym uśmiechniętym wzrokiem szczeroci z pośród ciemnej, zbitej zieleni liści. Na stokach wzgórz, pośród zieleni, wyglądają słupki domków, willi europejskich.

Jestem mocno przytępiony; męczę się szalenie łatwo, stan fizyczny nie pozwala mi intensywnie doznawać, ani tęsknić za szczęściem, ani wspominać, ani pożądać. Chwile energii wydają na przyjmowanie wrażeń, czasem odczuwam silniej; zwykle odczuwam apatycznie, zewnątrz. Wspominam i myślę o przeszłości; o tem co zostawiłem, myślę z przejmującym, podświadomym bólem. Staram się pisać do Matki, opisywać wrażenia; przychodzi b. ciężko. – 1. [pierwszego] dnia po [?] (śnie?) jedziemy rikszami koło jeziorka; uderza mnie niezwykła piękność i wytworność widoków; cienista aleja nad wodą i niskie werandowate zabudowania buddyjskiego klasztoru; roślinność. Jedziemy obok domu targowego do poczty. Potem ulicami; kupujemy ubrania u Cargilla. Szerokie, jasne uliczki; straszne smrody; leniwe, ociężałe postaci Syngalezów i [?] o wspaniałych, bogatych ubraniach i dzielnych, otwartych gębach. Jedziemy do meczetu. Śliczny widok na jeziorko i zachodnie wzgórze, wysokie, pokryte

plantacjami herbaty. Potem obok ogrodów i pałacików, świątynia Sziwy, jedziemy ku jedynej zabytkom, dość marnym. Resztki pałacu królewskiego, świątynia św.[?]. Wieczorem oprowadzanie po świątyni. Irytuje mnie raczej z powodu ciągłego zebractwa. Świątynia otoczona murem, wznosi się na terasie, czy raczej na szeregu terasów. Składa się ona z całego mnóstwa kaplic, korytarzy, przybudówek, zakamarków. Główna budowla jest to mały dwupiętrowy domek czworoboczny, pokryty olbrzymim dachem, z werandą biegnącą naokoło. Pomalowany lichymi freskami o naiwnym, bezstylowym pacykowaniu. Nie dotarliśmy do jego wnętrza. W podwórzu wewnętrznym, otaczającym ten domek, a otoczonym otwartymi nań werandami, roi się od ludzi, przekupniów kwiatów, betelu, kadzidła; ciemne, półnagie postaci, krzątające, przesuujące się cicho i leniwie. Mają coś kłamliwego i zebraczego w sobie. [?] domek ośmiokątny, piętrowy; rodzaj niskiej wieżyczki z cudnym widokiem na jezioro. Radza pokazywał się stąd poddany. Wnętrze pełne świecidełek i świętości, zaczynając od złotych posążków wysadzanych klejnotami i poobwijanych w szmaty haftowane [?], kończąc na oleodrukach świeżo sprowadzonych z Europy. Posążki i posągi Buddy wszelkich rozmiarów i najróżnorodniejszych motywów; złoto, srebro, alabastr, kamienie szlachetne [?]. Wszystko powstawiane pod klozami lub poobwijane w szmatki, bez symetrii, ładów lub bezładów artystycznego; przypomina trochę salon burżuazji niekulturalnego lub [?] izby chłopca, trochę pokój dzieci, bawiących się w święte misterja. Kaplica za świętymi posągami Buddy; złotym, kryształowym; cały szereg znowuż. Jakaś żądza i upadek wisi nad wszystkim. Monotonna muzyka [??] Słychać ją tu wszędzie pod wieczór i w południe. Z daleka brzmi, jak suchy bełkot pustej beczki wiezionej po kamienistej drodze.

Pod przykrem wrażeniem znów jednej rozproszonej iluzji, tajemnicy, która rozplynęła się w nicość wychodzę ze świątyni: Buddyzm w swej brutalnej, pospolitej formie przedstawił mi się jako coś jałowego; coś, co znam już z tandetnego katolicyzmu Włoch Południowych; coś, co nie ma czaru dziwnych efektów artystycznych, [?] i opartych o wiekowe tradycje. Śpiew muezina na minarecie; dźwięk dzwonów w kościele wydaje mi się czemś pełnym tajemniczych wezwań w porównaniu z tem suchym telepaniem pustej beczki. Pierwsze zetknięcie z zupełnie nową kulturą, od której się człowiek bóg wie nie co spodziewał, pierwsze wrażenie zupełnie nieznanego kraju, religii, pejzażu są zawsze pełne takich rozczarowań. Czasem tylko, bardzo rzadko szczęśliwy zbieg okoliczności: świeża, wypoczęta myśl, dobrze nastawiona wrażliwość, szczęśliwe ustawienie warunków w danym miejscu pozwala uchwycić od razu, treść nowego świata, wartość piękna w nowym otoczeniu. Następuje wówczas jasnowidzenie, ujęcie nagłe i głębokie rzeczy niespodzianych i pięknych, bo prawdziwych – jeden z najszcześniejszych typów przeżyć. Niestety w tej podróży takiego szczęśliwego zbiegu okoliczności nie mam, choćby z powodu troski o przyszłość, o aklimatyzację w tropikach i wielkiego zmęczenia gorącym.

Hotel: obiady i lunch obfite; jedzenie średnie; pokój chłodny i comfortable. Gniewa mnie obsługa, cicha, pelzająca i [?] ubierający się do obiadu; niesympatyczni Anglicy, najwidoczniej nie mający nic ciekawego do powiedzenia.

Następnego dnia spacer do Peradeniya. Deszcz śniący. Jedziemy cały czas ulicą podmiejską. Ogrody; rozłożyste drze-

wa nad drogą; domki niskie, białe za sklepikami; czasem otwarte całą szerokością na ulicę i zastawione matami i kratką. Zawsze wylazi z ciemności jakaś postać brązowa, półnaga, jakieś szmaty czerwone lub białe; głowa, para oczów dużych, pustych, wilgotnych. Ulica zresztą dość martwa, nie ma życia, nie ma zdarzeń, nie ma zabawy i zabawnego lenistwa, włóczęgostwa. Ogrody botaniczne śliczne; zmęczony jestem. Bambus olbrzymi; tryska zieloną fontanną z ziemi. Jak wiatr wieje słychać turkot olbrzymich – hałas uderzających o siebie, skrzyp gigantycznych kół, jęki; jakby jakaś nadpowietrzna walka olbrzymów na kije! Oglądamy lotosy na stawie; wiktoria ragja; palmy talipot; pandanusy; palmy Phoenix. Rzeka o rdzawej wodzie płynie cicho, leniwie, jakby wypełniona gęstą, lepłą cieczą. Drzewo fikus rozpuszczające setki pędów z ziemi. Deszcz, ulewa nas łapie. Czekamy aż przejdzie.

Po przespaniu idę do Bella, potem na Lady Horton's walk; śliczny widok na Kandy; ptaki o ostrym, przesywającym grzechotaniu; motyle śliczne. Bell radzi jazdę wołami. – Wieczór nad stawem. Ciemno i ciepło. Wysepka nasuwa kuszące myśli o cudnym posłaniu miłości, gdzie [?] opasty król, w lubieżnym, olbrzymim uścisku posiadał kobiety śliczne; w duszy noc, gdy niebo zdaje się nachylać nad ziemią i obejmować ją ciepłem swego uścisku. – Ja idę jeszcze ulicami, wiedziony jakby nieokreśloną nieczystą, mętną nadzieją ujarznienia czegoś co będzie mnie namawiać do zlego. Przewyciężam się; parę razy walczyłem już przeciw nieczystemu myślom. Wracam koło świątyni i nad stawkiem do domu.

Na drugi dzień rano, rozstajemy się boleśnie z P[?]; idziemy na L[jady] Horton's walk. Bajeczne, [?] gąszcz; motyle, kwiaty. Cudny widok na Gangę i równinę na wschód od Kandy. Górki misterne, eleganckie w swym pogmatwaniu linii i nieregularnej konstrukcji. Wśród szerokiej doliny płynie znowuż mętna, brązowa Ganga. Mam dziwne wrażenie, że ten cudny kraj jest pozbawiony czegoś, że jest to dekoracja piękna, której brak dramatu. Kraj o wartości historycznej, albo kraj zupełnie dziki mają każdy swój urok odrębny. Ale kraj, którego historia jest (w mej apercypcy ignoranta) zbiorem drobnych bezsensownych posunięć na szachownicy małostkowej polityki drobnych radzów i wstrętnej polityki państw kolonizacyjnych; kraj, którego celem w dzisiejszych czasach jest wzbogacanie plantatorów i spekulantów – taki kraj nie ma żadnego uroku. Plantacje herbaty na tym przesłicznym krajobrazie, szeroka dolina, na której powinna istnieć jakaś wspaniała stolica, choćby w ruinach, nasunęły mi te refleksje. W Kandy zakupy u Cargilla; jazda do Matali, ostabienie: pomimo to patrzę na okolicę [?] w cieniu chmur. Ganga; drobne płaszczyzny pokryte [??] i ogrodami; potem przejazd przez Gangę; a potem jazda zбочem ślicznej doliny z wysoką górą po przeciwnej stronie. W Matale radosne 1. wrażenie, że narazie jestem w prymitywnym Ceylonie, w rest-kruzach, że nie ma Europejczyków. Matale ślicznie położone u stóp stromej góry zielonej, pośród zieleni ogrodów. Decepcja; nie ma noclegu; nie ma wołów. Idziemy do świątyni. Szeroka, barwna ulica, znowuż wiecznie te same zbolale, puste twarze; czerwone i białe szmaty. Warkocze, hustki [sic], turbany.

Wychodzimy z miasta; mała świątynia z rzeźbioną kopułą. – Potem szereg ogrodów; tu i ówdzie domek kryty dachówką lub poszyciem z liści palmowych; znowuż wszędzie omdlałe postaci. Spotykamy grubych, poważnych arystokratów czy plutokratów syngalezkich, którzy się zgromadzili

w Matala na wedding party i teraz jadą samochodem, drynda lub idą piechotą. Do świątyni prowadzi wązka ścieżka i schody, skręcające na lewo (ku zachodowi) od głównej drogi. Obok otwartej altany, służącej za schronisko podróżnym i drzewa świętego Bo[?] przechodzi się w dziuplę [?]; olbrzymie liście ocieniają schody, którymi dochodzi się na jakie 4 piętra; z dołu już widać szare olbrzymie bryły [?] poustawiane przypadkowo, poopierane o siebie. W niektórych niszach gnieźdzą się masy nietoperzy, w innych zakamarkach wbudowane są kapliczki. Główne złomy tworzą głębokie podwórko, w którym znajdują się 2 kapliczki buddy. Obchodząc jeden ze złomów wychodzi się na szersze podwórko, gdzie znajduje się domek kapłanów, z tamąd wejść można na szczyt jednej ze skał, gdzie stoi malutka [?]. Widok z tej skały był tem, co mnie najbardziej wzięło. Widać całą dolinę. Zachód słońca; różowe chmurki na tle wszechobjmującej [?]. Góry (szczyty) częściowo we mgłę; przez [?] wrota tu i ówdzie widać niebo błękitno zielone. Ten widok wziął mnie b. silnie.

Wracamy. Jazda przy księżycu. Szerszych widoków nie ma. Bliższe plany ciekawe; śliczne efekty ze świetlikami; dającymi przerwane światło. W Kandy parszywy nocleg; pchły i żyganie pijanego drania obok. Ranna jazda do A'pury. Z początku czuję się dobrze i odczuwam po raz pierwszy silniej bezpośredniej przyrodę. Śliczny szeroki widok na rozległą dolinę; w odległości zamek św. Anioła i szpinach peaki.

Za Polgahawela jedziemy 1. klasą z 2=a mieszkańcami, czy Holendrami. Zaczyna się sucha dżungla; charakter zupełnie inny, znacznie mniej egzotyczny. Niema ani [?] sztywnej fantastyczności palm z dzikością [?], oblewających ziemię falą zieloną; ani nieustępującej na krok bujności i zieloności traw i krzewów. Coraz więcej spalonej, suchej trawy i wyschniętych drzew, wy[acznie] drzewa, które potraciły liście. Dużo krzewów kolczastych; suchych. Wszystko przypomina krzewiaste zarośla Anglii.

W A'pura b. miły hotel. 1. dnia zwiedzamy na wózku z guidem. Mam treść, czy mi się uda zrobić wyprawę wołami. – Świątynia koło wioski; na szczycie dachu drzewo Bo. Wewnątrz leżący Budda i zwykle statuetki. Potem jedziemy ku południowi ku świątyni w otwartym polu; parę stawków przed nią; nad nią Dagoba<sup>40</sup> z ślicznym widokiem; za nią staw sztuczny irygacyjny. Wracamy, oglądamy dużą Dagobę, nie wychodząc z powoziku; potem jedziemy laskiem bez podszycia między ruinami licznymi. Głównie szeregi słupków kamiennych ustawionych prostopadle; śliczny, podłużny stawek, obok świątyni. Ruiny kwadratowe, z doskonale rzeźbionym kamieniem półokrągłym. Refleksje o upadku kultury w danym narodzie. Gromady małp między ruinami. Wracamy już przy księżycu. W hotelu zaraz po obiedzie zasypiam w krzesle; następnie kładę się spać jak 12 godzin. Szalone zmęczenie i przytłumienie; apatja. Podobna zresztą do tej, na którą cierpiałem po przyjeździe do Las Palmas. Może i teraz się przyzwyczaję.

Na 2. dzień idziemy koło 11=tej nad jeziorkiem, koło restaurowanej dagoby do nowej dagoby, której dotąd jeszcze nie widziałem. Gaj mimoz czy akacy i figosów; drzewa rzadkie, bez podszycia; ziemia pokryta liśćmi zeschniętymi; na lewo staw podłużny; widocznie kąpiel dla słoni, a może i dla ludzi, kapłanów. Na prawo dagoba, w [?] porośla trawą; Staś na platformie z olbrzymich, płaskich kamieni. Po 4 stronach małe kapliczki u jej stóp. Idziemy na szczyt tzn. taras dobrze [?], na szczycie czworosściennym. Na tem wązka wieżyczka,

zwężona ku szczytowi. Tam płaska platforma, osłonięta półokrągłym murem z jednej strony, otwarta na duże jeziorko i cudny widok na góry. Szeroka równina; szaro zielone stawki, jasno zielone plamy pól ryżowych; niektóre pola wyschłe. Nad większym stawem zeschny las o białych pniach i konarach. Bliżej widać sylwety dagobów; jest ich 4; świątynia na małym [?]. – Staś ma fatalny dzień; nie patrzy, rozpacza, mówi o sb. [samobójstwie?]<sup>41</sup>. Miał pisać artykuł.

Popołudniu siedzimy w hotelu, siedzimy na tarasie. Księżyc wschodzi. Przed nami w[ielka] niedźwiedzica; patrzę z sentymentem na płnc [północ]. Na lewo wenus zachodzi; na prawo wschodzi wega. Krzyż i centaur za nami. – Władowanie na bullock cast. [?] Idziemy kawał drogi piechotą; księżyc; jednostajna powłoka światła i cienia miękiego przebija ją złoto iskry światła po domach, na straganach, w świątyni. Słychać tamtam; ulice ruchliwe. Idziemy przez wieś; potem lasem; przechodzimy tor kolejowy, rzekę Malantovia Gangu. Kładę się spać; kiepski sen; człowiek idzie z nami i śpiewa; wciąż spotykamy wozy; szalenie i [?].

Maradankadawala. Spacer wsią małą i nędzną. Jeziorko nad górką, okrytą skałami. Idę na lewo nad stawem, lotusy. Potem pod skałą; domki; wchodzę na górę; przede mną 2 pola ryżowe, między nimi ścieżka prowadzi w dżunglę. Mała świątynia buddy w skale. Idę w dżunglę; mało egzotyczny charakter; zmęczenie; marzę o tem, jak będę o wspominał te spacerki po powrocie. Po wyjściu z dżungli (nizkie, akacjowe krzaki; owady i motyle wspaniałe) jestem obsypany kleszczami. Z pomocą moich przyjaciół obszukuję portki i skarpetki. Dziś tylko jeden kleszcz wbił się we mnie i natychmiast ustąpił pod jodyną. Wracam nad stawkiem; śliczny widok na górki; małpy przelatują po drodze. Spotykam Stasia. Resztę czasu w Rest Housie; rozmowa z Tamilem; pisanie dziennika; Staś zaczyna artykuł b. dobrze<sup>42</sup>.

Z Maradankadawala do Kekirawa droga b. jednostajna między niską i szarą dżunglą; trawa spalona; raz tylko widać wzgórze nad dżunglą. Kekirawa mała osada; dużo wozów [?]; jadą do A'pury na święto. Idziemy wieczór do dagoby. Cudny widok na stawek i górki; pola ryżowe. Siedzimy długo na dagobie; ja medytuję o prawdzie w życiu; czy postąpiłem prawdziwie w stosunku do Retingerki, wracając do niej? Czy miałem prawo się jej oświadczyć? Czy miałem prawo całować ją jeszcze? Prawda prowadzi do nirwany, do niszczenia w sobie niektórych rzeczy i do utrwalania innych, do mumifikacji ich. – Obiad; karaluchy. Śpię niezle.

Dziś rano idę na spacer, po wale naokoło wyschłych stawków. Upał szalony; robię zdjęcia. Nad dżunglą widać góry zamglone, choć niezbyt odległe. Dżungla rzadka, czysta. Tylko w punktach lepszej irygacji oazy silnej zieloności; palmy i podszycie buszu. Kobiety kąpią się w stawkach błotnistych.

6.VII.14.

Dziś dopiero czuję się trochę lepiej; mam poczucie jakby jakiś ciężar spadł z głowy i łuska z oczu. Zdaje się po prostu że dzień jest chłodniejszy. W każdym razie jestem znacznie lepiej i jestem szczęśliwy. Wczoraj po powrocie ze spaceru pisałem w resthousie b. leniwie. Pakowanie; breakfast; mam kota moralnego z powodu omyłki keeper [stróż] i tego, że Staś się nie wpisał w książkę. Wieczorem okazuje się że keeper okradł nas o 2 rupie.

Jazda dość monotonna. Z obu stron widać zielone ściany dżungli suchej i nieefektywnej. Siedzę w wozie i patrzę leni-

wie, jak drzewa wloką się. Szerokie mimozy jak otwarte parasole; fikusy o poplątanych konarach i pędach, jak grupy zajęte żywą i poufałą rozmową; trzymają się pod ramiona, wyciągają ręce, gestykują. Miejscami roślinność zupełnie pustynna. Kaktusy i euforbie [wilczomlecz] pospłątane w gęste bukiety. Miejscami przerwa w dżungli; zielone pola ryżu, ponad nimi dalszy widok na góry. Przejeżdżamy przez dojrzałe pole ryżowe; ściernisko, na nim kopki zboża żółtego. Gdyby nie nieregularna szachownica drobnych poletek możnaby się czuć [jak] w Polsce, tak podobne są niskie krzewy, stojące bukietami i dużymi kopami w głębi pola. Bydło garbate, albo też szare jakby bez sierści, w dużych rogach pustych.

Leśnych zwierząt prawie nie ma, nawet ptaków niewiele. Przed [?] idziemy dużo o zmierzchu; z dżungli dochodzi głos fletu i bicie w bembem; pierwszy raz muzyka buddyjska uderza mnie jako coś ładnego. Ale sama droga mnie nuży; napady chandry za Galicją. Marzę jakbym to podróżował z rykszą i automobilem. Marzę o możliwościach milionerstwa. Rest house obszerny; przed nim palmy w księżycu i ściana góry. Po herbatce idziemy na spacer. Małe domki – typowe, między szparami światła, ciemne postaci, łóżka.

Przy drodze widzimy, pod rusztowaniem z 4 pionowych patyków i 4 rozłupanych kawałków bambusa, poziomo opartych o nie, siedzi człowiek nad stoliczkiem pokrytym kwiatami, kadzidłem i świeczkami: odprawia ceremonię magiczną. Pomagamy mu parasolami przy zapaleniu świeczki. Odczytuje modlitwy i pali kadzidło nad węglami. To pierwsza, którą widzę, ceremonia magiczna, odprawiana w świetle [?], pod pokręconymi korzeniami figusa, przez czarnego dyabła, w otoczeniu tylko takich samych dzikusów, działa [?] i przejmująco. Idziemy poprzez obozowisko pielgrzymów, którzy recytują w otwartej hali jakieś godzinki buddyjskie, w górę po pochyłej skale. Mała biała dagoba w świetle księżycy; daleki widok na dolinę, [?] ku północy. Dyskutujemy o metafizycznej zawartości Buddyizmu v. Christianism.

W nocy śpię fatalnie z powodu herbaty. Wstaję o 7=ej idziemy ku świątyni. W dzień te same miejsca wydają się mniej [?], ale widok jest cudowny. Wspinamy się po gładkiej skale na sam szczyt czapki. Na prawo okrążamy świątynię i drapiąc się po nierównościach [?], przepychając się przez gęstwą ściółki i wchodząc po euforbii wydobywamy się na wierzch. Rozkosz chodzenia po zaokrąglonych, wylizanych wodą płytach granitu. Ciemno szary z lekkim odcieniem czekolady, przypomina kształty olbrzymia, słonia. Wszędzie widzę jakby olbrzymie zady, [?] zwierzęcia, zaokrąglone płyty skóry. Charakter skały powolność, łagodność, osiadłość – coś niby [?] olbrzymiego posągu Buddy patrzącego w dal. Ze szczytu widok wspaniały. Z za profilu czapki wzrok spada wprost na dół równiny, pokrytej gęstym lasem. Dalej, naokoło z równiny tej wznoszą się całe szeregi utworów górskich. Na północ i na zachód równina jest stosunkowo najbardziej czysta; tylko rzadka wznosi się jakaś góra; niezbyt daleko stożek regularny, dziwnie podobny do Wein[?]; dalej garbate góry jak dromadery przyklekają po ładunek, leżą samotnie na płaszczyźnie widać ich kilka, nie płaczą za sobą, samotne i spokojne. Ku wschodowi zaczyna się trochę więcej ruchu; z początku małe faliste pagórki, jak kopuły podłużnego meczetu, potem grzbiety przerwany tu i ówdzie wystającą basztą na koniec wyraźny łańcuch górski [?] na najbliższym planie dwoma ostrymi grzbiętami w główny trzon górski, wznoszący się na południe i zakryty we mgle. W ten trzon wchodzi

szeroka dolina, biegnąca od stóp naszej czapki granitowej; po prawej stronie wznosi się piramida o ostrych zarysach, trochę podobna do Lodowego, otoczona kilku szpiczastymi iglicami. Dalej na prawo znowu szeroka równina i tylko daleko na horyzoncie przebijająca się przez zamglone powietrze drobne łańcuchy górskie w miniaturze. Nad tem wszystkim niebo pokryte jasną warstwą cirrusów; niżej pędzą po niem białe baranki. Wiatr szalony; chłodno i świeże powietrze. Zdołałem uchwycić istotę swoistości tutejszego krajobrazu górskiego: Ma się tu przed sobą zbiór najrozmaitszych, najbardziej odmiennych typów górskich: piramidy o charakterze młodych formacji plutonicznych; wyraźne wulkaniczne stożki; iglice dolomitowe; kanty i czapki; dalej stolnice szerokie, [?] faliste wzgórza i szczyty stojące samotnie. Wszystko to miniaturowe, zebrane w jednej panoramie jak na pokaz pod kloszem olbrzymim – i w dodatku wszystko pokryte jednostajnym płaszczem zielonym, zamalowane grubym pokostem – który nadaje wszystkiemu jakąś uprzejmość, łagodność i misterność – odejmuje grozę i majestat dziki najsurowszym i najbardziej fantastycznym formom.

Świątynia cudowna. I. podwórko przywodzi kojarzenia różnych kaplic polnych, miejsc świętych, klasztorów górskich. Przez otwarty, mały krużganek wchodzi się w ogrodzone podwórce, z którego rozciąga się śliczny widok na Zachód południowy. – Wewnątrz silne wrażenie robią olbrzymie posągi Buddy leżącego, wykute w skale. Sklepienie pomalowane, zwiesza się łagodnymi, pofałdowanymi kształtami, jakby jakaś kunsztowna tkanina, ciężka i bogata. Malowidła dziwne, przy niepewnym świetle robią wrażenie rzeczy pięknych i stylowych. Bóstwa o ramionach i twarzy słonia; sceny historyczne; procesje świętych – mającą pośród pełzających tu i ówdzie światełek i nadają pieczarze jakieś dziwne, zastygłe i ślamazarne życie. Naokoło, w odległości jakich 2 metrów od ściany, tyłem do niej obrócone siedzą postaci – zdaje się Buddy, w kucki, z liśćmi [?] wystająca z głowy. Wnętrze świątyni zastawione małymi szafkami oszklonymi, posągami bóstw, kapłanów, świętych i [?]. Na prawo rozłożony posąg Buddy. W I. pieczarze, b. malej, jest on wykuty ze skały o cudownym wyrazie twarzy, w sukni o ślicznie wyrzeźbionych fałdach. –

Nalanda, 8.VII.14.

Znowu opadło mnie zmęczenie; przemęczenie i wyczerpanie. Powietrze tu trochę b=ej duszne niż w Dambullu – roślinność zbliżona do flory kandyjskiej. Wczoraj w nocy śniłem o n; o Lipsku – obrazy miasta przepojone szaloną tęsknotą, mówiące sentymentem; byłem tam z t, a tęskniłem za n. Rano obudziłem się z silnymi uczuciowymi falami; głównie do n; właśnie dziś, jutro żegnałbym się był z nią.

Na morzu, z Fremantle do Adelaide, Środa 5.VIII.

#### Opis pobytu w Zachodniej Australii.

Ogólnie b. miły, pogodny, lekkomyślny nastrój. Brak zafascynowania jakąś jednostronną podniętą uczuciową. Zainteresowanie się głównie obiektywnymi faktami; roślinnością Zach[odniej] Austr[alii]; zwierzętami w ogrodzie; trochę też problemami etnologicznymi. Nastrój par excellence naukowy. Pod koniec zaczynam się czuć trochę gorzej z powodu kłótni ze Stasiem, ogólnego zmęczenia i, na samym końcu, wiadomości o wojnie:

21.VII. Dzień przyjazdu. Wstaję o 6-tej. Kąpiel. Na pokładzie deszcz; ciemno jeszcze. Budzenie się dnia; chłodnego; różowe cienie na ciemnych chmurach, wlokących się smugami deszczu po oceanie; zielone, zimne morze. Poczucie wyjścia z tropików; nowe poczucie geograficzne globu; opasania ziemi. Fakt psychologiczny „poczuć geograficznych”.

Fremantle jako szereg domów bez charakteru w oddali. Długie czekanie na Le Sonifa<sup>43</sup> i na Dakina<sup>44</sup>; niepewność co do Stasia. L.S. przyjeżdża; duże, nieporządne, solidne chłopsko. Bryka w polskim stylu. Radość, że jestem gościem, że nie muszę o wszystkim myśleć i za wszystko płacić. Wyjazd. Małe bungallows; pierwsze eukaliptusy i drzewa pieprzowe. L.S. objaśnia o mieszkaniach, o piaszczystym pasie, mówi nam nazwy drzew. Rzadki las; puszyste, rozłożyste drzewa o fantastycznych sylwetach. Przedtem małe krzaki o sztywnych konturach: [?] i puszysta haznarina podobna do wiotkiej limby. Bierze mnie zainteresowanie botaniczne; chciałbym zrozumieć położenie eukaliptusów w systematyce botanicznej. L.S. mówi mi o charakterze liści eukaliptu. Problem drzew liściastych i szpilkowych. Definicja drzew liściastych, jako mających 2 strony liścia odmienne. Przejżdżamy zwolna w czysty [?], bez domów; widzimy domki z blachy giętej; małe, stojące na palach, czasem malutki jeden pokój, podobne do budki [?] albo centinelki. To domki osadników lub robotników osiadających na roli. Jedziemy koło stacy „bez drutu” – potem przez rzekę; potem przez miasteczko i wjeżdżamy do S. Perth. Domek z drzewa, otoczony werandami na parterze i piętrze, pomalowany. Stoi na pagórku; nad drzewami i pomiędzy liśćmi widać lazurową wodę zatoki. Rano, budząc się widzę na lewo [?] wodę ‘Cumming River’, na prawo Perth water. Za domkiem podwórze i ‘ubikacje’; przed domkiem ogród; przechodzący w ogród zoologiczny. Schodzi się na dół, z początku widok na wodę i brzeg przeciwny; potem gubi się człowiek w ogrodzie. Eukaliptusy po drodze. Wogóle wszystkie najważniejsze drzewa są Eukaliptusy.

Pani L.S. wychodzi na nasze spotkanie i wita b. serdecznie; ona jest niewątpliwie silniejszą indywidualnością w rodzinie. Szczupła, z ściągniętą twarzą, mogła być niegdyś dość przystojna. Typowa protestancka ograniczoność poglądów i zaciętość charakteru, połączona z dość dobrym sercem i poczuciem swobody. Można z nią zupełnie dobrze wytrzymać; tylko trzeba jej ustępować w małych rzeczach.

1.[pierwszy] lunch – jedzenie b. dobre. Jam figowy i śmietana od razu pociągają moją uwagę. Po lunchu idziemy się przejść po Zoo. Żółwie na dole, przewracamy je. Potem małpy. L.S. bawi się z węzami; przyczepia się do nas 3 facetów baciarowatych. L.S. zajmuje się b. intensywnie nimi. Łazienka z ciepłymi kąpielami. Wracamy do domu i jedziemy do Perth. Jazda przez rzekę wyjątkowo ładna. Sylweta Perth, podnosząca się łagodnie na 2 pagórkach.

(Kończę w Poniedziałek 17.VIII. w Melbourne)

Ten widok – jeziora z sylwetą małomiasteczkową i z szerokim horyzontem, kończącym się górkami na wschodzie i zamkniętym pagórkiem lesistym tuż na Zachodzie – jest dla mnie związany ze zrozumieniem uroku i piękności życia kolonialnego. Zupełnie świeże, nowe, niewystępowujące ani faktycznie ani w żadnej wyobraźni artystycznej widoki; szerokie możliwości ekonomiczne, połączone z rzeczywistą twórczością nad dziewiczą ziemią – łatwość niezmierna stosunków

ludzkich i możność wybicia się – to wszystko są niezmiernie silne węzły łączące człowieka z nową ziemią. Rzeczy, których istnienia zupełnie nie przeczuwałem

Umieszczam Stasia w Hostel; zciemnia się; jedziemy z powrotem. W domu zastaję Leslie i Mildred, dwoje starszych dzieci. Po kolacji siedzę z nimi w saloniku i rozmawiamy o geografii, o Ceylonie, o zwierzętach. Bawi mnie i robi mi przyjemność adoracja i „upiedestalenie” z jakim mnie przyjmują Mrs. L.S. & Miss Ry[?]. Wieczorem pokój mój b. przyjemny; słyszę odgłosy dzikich zwierząt i skrzyp wiatraka pompującego wodę. Jestem spokojny i zadowolony; czuje się w domu; chandra ginie.

We Środę 22.VII rano idę do kąpielni, koło dzikich zwierząt, lwów i tygrysów. Śniadanie, przy którym długo gadamy. Koło 12-tej idę sam do Perth. Stasia niema. Przychodzi Staś i L.S. po kwadransie mojego czekania. Idziemy do Uniwersytetu, gdzie nikt nic nie wie – potem z Watsonem na lunch; potem plan dalszej wycieczki do Kalgoorlie i Merredin. Po lunchu jedziemy tramem do miasta; rozmawiam z Irlandczykiem w składzie zboża; o kopalniach złota i „prospecting”; o zarobkowaniu i „home [?]”. Jedziemy kołmi przez przedmieścia o rzadkich, niskich domkach wśród ogródków; potem brodem; potem znów małe [?] domki z blachy lub drzewa osamotnione w dziewiczym buszu[?]; domek Duraca<sup>45</sup>. Black z plemienia Loritja; badam go powierzchownie. Kobieta z plemienia Pln. Zachodn. – Wracamy; zciemnia się; poprzez most; drzewo na którym ostatni raz wieszano bez sądu. Le Sonif dużo gada. Wieczorem kolacja; odprowadzamy Stasia do Watsonów; klótnia w hotelu. Opuszczam Westonów. Wracamy z Miss Ragmont; ja daję popularny wykład o gwiazdach (ekspansja subiektywna). Śpię krótko. Na drugi dzień L.S. odprowadza mnie na kolej.

Czwartek 23. Długo ciągną się przedmieścia; potem ładne widoczki przy wjeżdżaniu na Darling Range. Potem jednostajny [?] i „black boy” nadają charakterystyczny, egzotyczny wygląd. Pola zborza [sic]szeroko rozłożone między puszcza. Gdzieniedzie centra b. zaludnione, Parę razy się pożywiamy. Ja czytam handbook<sup>46</sup> o W. Austr. – Wysiadam; spotyka nas wysoki, silny blondyn. Jedziemy polami; nastrój wsi polskiej. Widzimy las we wszystkich stadjach; bujny i silny; [?] z obumarłymi drzewami; spalony z brązowymi, umarłymi liśćmi; odradzający się z zielenią, wykwitającą na martwym brzoju liści, jak grynszpan [??] wytrzebiony i czyste pole. Ściemnia się; jedziemy koło [?] Station. Kolacja w dużym, zacisznym, ogromnym pokoju. Oglądamy narzędzia rolnicze i maszyny do koszenia (a raczej obcinania czy wybierania ziarna), młócenia, wiania i segregowania zboża. Maszynę do rozbijania grud i.t.p. Krótki sen – nastrój spokoju, odcięcia od świata. Szybka i pełna naprężenia jazda na stację. Wspaniały, na oko, pociąg. Wygodny compartment. Rano śniadania w wagonie, Niski bush, wśród czerwonej ziemi. Górki i ładnie położone Kalgoorlie z daleka. Poznają Mr. i Mrs. [?]

W Kalgoorlie (Piątek 24.) zimno; czyste, przejrzyste i ostre powietrze. Czerwona ziemia i seledynowe niebo. Barwne domki. Idziemy ku poczcie; Mr Bolton; poczucie zbytniego uhonorowania. Tramem do Bonlder; potem idziemy; Hamilton. Ridge[?] oprowadza nas po górze. Młoty rozbijające greenstone; potem bale tłukące go; młyny wilgotne; na dnie rtęć. Bierzymy w rękę ciemny, gęsty amalgam złoty. [?] Czarne błoto, zawierające 70% procent złota. Złoto wypieczone. Lunch u Hamiltona. Przebieramy się w niedzielne

ubrania i kapelusze i idziemy ku [?] Jazda windą na dół. Spacer po sztolni; system przekopywania się całą szerokością, a raczej grubością kopalni. Hamilton daje mi próbki złota; wracamy automobilem. O mało co nie spóźnieni. Kupuję sleper dla siebie i Stasia. – Staś wyjeżdża z pretensjami o Środową kłótnię, co mnie przyprowadza do wściekłości. Kola-cja; źle przespana noc. –

Sobota 25 w Perth przyjeżdżamy; telefonuję do L.S. Protector of Aborigines, który przyjeżdża po nas bryką. Jedziemy miastem nad jezioro. Znow wesoły, swobodny, miły i nie-estetyczny charakter miasta, przedmieść. Wracamy mostem z rybami i żółtami. Lunch; popołudniu spacer po Zoo z Kingsmillami; wieczorem idziemy do N.W.D. Campbell. Oglądanie narzędzi aboroginów.

Niedziela 26.VII. Wycieczka do Cussacka. Rano przebie-ramy się. Potem jedziemy zwykłą drogą (tagarocta, złota akcja w kwiecie, drzewo z wisielcem) przez most do Guilford, gdzie konny policjant nas oczekuje. Blacks camp. Rzucanie boomerangów, które wszystkie wracają. Nie mogę zebrać żadnych określonych wiadomości. Lunch w rozwalonym domku. Jazda do Cussacków, Staś siada na froncie. U Cussac-ków mam długą rozmowę z nim. Następnie herbata. Dostają wommerę i churinge[?]; obie dobre. Powrót, późnym wieczorem. Rozmowa, w kt[órej] St[as] napada na mnie i peszy mnie, tak, że mam noc [?]; choć odnoszę się do niego pacy-ficznie.

Poniedziałek 27. Wycieczka do fermy pomarańczowej. Aha, w powrotnej jeździe poprzedniego dnia robię zgodę z panią Lud. cofanie się na wszystkich punktach paradoxów i jestem z nią nadal w miłych stosunkach. Jedziemy jak zwyk-le aż do Gulford. Potem bushem, zbieramy kwiaty, których mnóstwo. Jedziemy wozem pod górę. Bush na górze [?]; mniej kwiatów. Przyjeżdżamy późno; chłodny lunch. [?] i Gil-es'em; potem spacer po farmie; jestem osłabiony i ciężko chodzę. Ładna, malownicza dolina; gaje płoną pomarańczami na tle jasnego lazuru nieba; powietrze czyste, cudny zapach żywicy aromatycznej jak woń [?]. Wracamy piechotą pod górę; siadam; jedziemy nocą. Dr. L.S. opowiada mi historie o wychowaniu dzieci. Przyjeżdżamy późno; kolacja; Staś wy-

chodzi wcześniej (i robi mi awanturę tego dnia a nie poprze-dniego jak zanotowałem).

Wtorek 28. Rano idę do Campbella i dostaję dużą ilość fajnych rzeczy i ciekawych informacji; mówimy o użyciu wielu przedmiotów; boomerangów i.t.p. Potem o ceremonii inicjacji; pokazuje mi ciekawego penisa z drzewa i z kamie-nia, którego pokazują chłopcom przy inicjacji. – Potem idę na lunch; potem przebieram się i idę na recepcję. Długa roz-mowa z gubernatorem i jego żoną. Rozmowa z vicegub. i Sir Johnem Forestem. Spacer po ogrodzie; zabranie Stasia; po-wrót do domu. Wieczór w domu.

Środa 29. Rano wizyta w muzeum. Haddon<sup>47</sup>, Glonert, Scharff i.t.p. Popołudniu, po lunchu Camming i Protector aboroginów; potem znow idę do muzeum, zamknięte, wracam do domu.

Czwartek rano jadę do nowej Norcyi.

[Odtąd zaczyna się następny zeszyt a zarazem opubli-kowana w języku angielskim część dzienników pt. *A Diary in the Strict Sense of the Term*]

Port Moresby, 20. Września 1914.

1. Września rozpoczyna się nowa epoka w moim życiu: sa-modzielna i samotna wyprawa w tropiki. We Wtorek, 1.IX.14. odprowadziłem Brit. Ass. Do Toowoombi. Rozmo-wa i zaznajamianie się z Sir Oliwerem i Lady Lodge<sup>48</sup>; ofia-rowanie mi pomocy przez tegoż; moje fałszywe położenie i „sprostowanie” przez Stasia. Pożegnanie z Desiré Dickin-son; wściekłość na Stasia, która przerodziła się na głęboki żal, trwający do tej chwili – to wszystko należy do poprze-dniej epoki, do wizyty z Brit. Assem w Australii. Wróciłem sam do Brisbane wagonem salonowym; czytałem po drodze Handbook australski. W Brisbane poczucie opuszczenia i sa-motności. Samotna kolacja. Wieczorami rozmawiam z Gräbnerem<sup>49</sup> i Pringsheimem, którzy mają nadzieję, że bę-dą mogli wrócić do Niemiec; mówię z nimi o wojnie. Otwar-ty na sień, tandetnie umeblowany salon hotelu Daniell wiąże się ściśle z tą epoką. Pamiętam wizytę rano w muzeum, do-



Witkacy, *Pejzaż australijski*, 1923 rok. Pastel.

Ilustracja za: Anna Micińska, *Witkacy. Życie i twórczość*, Warszawa 1985

ką Pringsheim mnie odprowadza. Wizytę u Burnsa Philpa<sup>50</sup>; wizytę u złotnika. Spotykam z Brownem<sup>51</sup>, w Piątek rano, który idzie tego dnia na lunch do Mayo'ów<sup>52</sup>. We Czwartek wieczór jadę do Dr= a Douglasa<sup>53</sup>, ażeby pożegnać się z Gol[d]ingami i dać Goldingowej list do Stasia, oraz oddać jej książki. Chłodna noc księżycowa. Tramwaj jedzie pod górę, widzę przedmieście położone nisko, u stóp pagórka. Boję się, że się zaziębię; U doktora spacer z jego siostrą, tłustawą blondynką. Potem przyjeżdżają Gold[ingowie]. Ponieważ odczuwam silną tęsknotę za Brit. Assem. Odnoszę się do nich z sentymentem, na który jednak nie znajduję oddźwięku. Rozmowa o ich wycieczce; tańce na polance.

Znacznie miłszy i b=ej osobisty wieczór u Mayo'ów. Wieczór; deszcz pada; po kolacji jadę ku promowi; pogoda jeszcze; prom na rzece oświetlonej księżycem przez chmury. Idę pod górę i błędzę; deszcz. Mayo spotyka mnie z parasolem. Rozmowa o możliwości rezygnacji Seymura o planach na lato, o możliwości wspólnego spędzenia wakacji i t.p. Nie-

zmiernie sympatyczni ludzie. Wracam ku tramowi. Znajomy konduktor, przypominający Litwiniszyna<sup>54</sup>. Dużo pijaków.

W ogóle w Brisbane nie czuję się bardzo dobrze. Silna trema przed tropikami; wstręt do gorąca i duszność – rodzaj panicznego strachu przed możliwością tak strasznego upału, jak ten, który miałem w Czerwcju i Lipcu. Zastrzykuję arsenik, po sterylizacji szprycy w kuchni. W Sobotę (dzień elekcji) rano jadę do muzeum ażeby ofiarować książkę dyrektorowi, potem załatwiam lekarstwa (kokainę, morfinę i emetynę) i wysyłam rekomendowany list do Seligmana oraz szereg listów do Mamy.

Po zapłaceniu przesolonego rachunku jadę na statek. Grupa osób odprowadzających; o 12<sup>3/4</sup> wyjeżdżamy. Mayowie stoją na brzegu; patrzę na nich długo przez lornetkę i macham chustką – czuję że żegnają się na pewien czas z ludźmi mnie życzliwymi i z cywilizacją. Jestem dość przygnębiony; mam zasadniczą treść i nieufność, czy podołam zadaniu, które mam przed sobą.

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> Ventnor na wyspie Wight u południowych wybrzeży Wielkiej Brytanii.

<sup>2</sup> Annie Brunton, patrz poprzednie odcinki.

<sup>3</sup> Otolia Retingerowa, Tośka.

<sup>4</sup> W Breña Baja na Wyspach Kanaryjskich Malinowski mieszkał przez półtora roku po zakończeniu studiów.

<sup>5</sup> *Wierzenia pierwotne i formy ustroju społecznego*, Kraków 1915

<sup>6</sup> G.B. Shaw, *Kandyd*, 1896, drwił tam z ogólnego poglądu na ludzką siłę i słabość i na dążenia walczących emancypantek.

<sup>7</sup> Kasia Chłapowska była przyjaciółką Otolii Retingerowej.

<sup>8</sup> Malinowski jeszcze w październiku 1913 roku starał się w AU o „udzielenie mu zasiłku z funduszu obrotowego fundacji śp. W. Osławskiego (...) celem przeprowadzenia badań z zakresu socjologii (...) ma zamiar pracować nad zagadnieniami odnoszącymi się do ogólnej teorii wierzeń pierwotnych oraz nad etnologią ludów Afryki Północno-wschodn.” Zarząd AU na posiedzeniu 10.I.1914 przyznał Malinowskiemu zasiłek w kwocie 300 koron. Patrz opracowane przeze mnie *Listy Bronisława Malinowskiego*, w: M.Flis, A.K. Paluch, *Antropologia społeczna Bronisława Malinowskiego*, Warszawa 1985, s. 271-272. Nie wiadomo czy chodziło o to stypendium czy o jakieś inne, o które jeszcze się starał.

<sup>9</sup> Możemy tutaj przywołać wspomnienia pani Tośki o swych wizytach u Conrada: „Mieszkał podówczas z rodziną w Capel House, w hrabstwie Kent. Mały, skromniutki domek stał w odosobnieniu od wsi, wejście oplatały gałązki pnącej rośliny, nie pomnę już jakiej. Wokoło były łąki, liściaste laski, miły spokojny krajobraz, pełen prostoty i pogody. Jechało się z Londynu parę godzin do niewielkiego miasteczka Ashford. Tam na stacji po raz pierwszy zobaczyłam Conrada”. T. Zubrzycka, *Syn dwu ojczyzn*, „Iskry” 1931, t. 9, s. 122

<sup>10</sup> Mówił „dużo o literaturze, ulubionych autorach, o francuskich mistrzach słowa, których podziwiał. Mówił wtedy chętnie po francusku. W angielskim miał zawsze bardzo wyraźną cudzoziemską wymowę. Po polsku mówił czysto, swym przemiłym ukraińskim akcentem. Czasem brakło mu jakiegoś słowa, wpadał znów we francuski”, tamże, s. 124

<sup>11</sup> J. Conrad, *The Return*, 1897 (*Powrót*). Najbardziej nieulubiany przez autora utwór. Nowela o rozkładzie mieszczkańskiego małżeństwa. Widać, że Malinowski odnosił treść Powrotu do swej własnej sytuacji.

<sup>12</sup> *Notes & Queries on Anthropology*, London 1912, wyd.4, B. Freire-Mareco i J.L. Myres (eds) były jakby podręcznikiem prowadzenia badań terenowych opracowanym przez W.H.R. Riversa, zawierały indeks kwestii, które muszą zostać poruszone. W duchu N. & Q. napisana została pierwsza monografia terenowa Malinowskiego, *The Natives of Mailu*, patrz: M. Young, *Introduction w: Malinowski among the Magi*, London 1988

<sup>13</sup> Szpotańscy byli bliskimi krewnymi Malinowskiego ze strony matki, wydaje się, że odwiedzał ich także z powodów finansowych.

<sup>14</sup> Może chodzić o kuzynkę Mancię.

<sup>15</sup> August Zaleski (1883-1972), dyplomata, z wykształcenia historyk; podczas I wojny świat. działał w Wielkiej Brytanii jako emisariusz obozu niepodległościowego. Od 1918 w pracy dyplomatycznej (na placówkach w Szwajcarii, Grecji, Włoszech); 1926-32 Min. Spraw Zagr., także w rządzie Sikorskiego.

<sup>16</sup> Żenia Zielińska była malarką, przyjaciółką Żuławskich, którą poznał zapewne u nich w Zakopanem. Bardzo się w niej kochał. Tej miłości dotyczą wcześniejsze dzienniki.

<sup>17</sup> Józef Rydel prowadził Biuro Akademii Umiejętności jako jego Adjunkt.

<sup>18</sup> Józef Rostafiński (1850-1928), botanik, prof. UJ, dyrektor ogrodu botanicznego, aktywny członek AU. Z tego powodu mógł mieć z nim Malinowski kontakty.

<sup>19</sup> August Witkowski, ur.1854, fizyk, prof. UJ, członek AU, jeden z najważniejszych mentorów Malinowskiego zmarł 12 stycznia 1913.

<sup>20</sup> Edward Strassburger (1882-1923), ekonomista, prof. uniw. w Warszawie od 1916, zwolennik kooperatywizmu, w którym widział urzeczywistnienie ustroju społ. opartego na zasadach sprawiedliwości społ.

<sup>21</sup> Jerzy Żuławski (1874-1915), pisarz, miłośnik i znawca Tatr, zmarł na tyfus jako żołnierz Legionów Polskich.

<sup>22</sup> Bolesław Ulanowski (1860-1919), historyk i prawnik, prof. UJ, Sekretarz Generalny AU od 1901.

<sup>23</sup> Pani Maria Witkiewiczowa prowadziła od 1912 r. pensjonat „Nosal” na Bystrem, bez większego powodzenia zresztą.

<sup>24</sup> Pensjonat „Konstantynówka” prowadziła p. Aniela Zagórska, kuzynka Conrada i matka późniejszej jego tłumaczki, też Anieli.

<sup>25</sup> W Lowranie na półw. Istria przebywał na kuracji Stanisław Witkiewicz, spędził tam kilka lat (1908-1915).

<sup>26</sup> Karol Szymanowski mieszkał wtedy w „Nosalu” u p. Witkiewiczowej.

<sup>27</sup> Malinowski w młodości często mieszkał u znajomego gazdy na Olczy.

<sup>28</sup> J. Conrad, *Nostramo*, 1904

<sup>29</sup> Może chodzić o Maurycego hr. Zamoyskiego (1871-1939), polityka i działacza wielu organizacji kulturalnych i oświatowych. Z późniejszego fragmentu wynika, że Malinowski także u niego szukał pomocy finansowej.

<sup>30</sup> G.C. Seligman, Brytyjski antropolog, autor min. *The Melanesians of British New Guinea*, 1910

<sup>31</sup> Zdzisław Jachimecki (1882-1953), muzykolog i kompozytor, późniejszy prof. UJ, przyjaciel K. Szymanowskiego. W 1914 został

członkiem Komisji Etnograficznej AU (a w 1947 czł. zw.), mógł to być, poza towarzyskim, powód spotkania z Malinowskim.

<sup>32</sup> Maria Antonina Czaplicka (1886-1921), studiowała w Londynie i Oxfordzie (jako stypendystka Kasy im. Mianowskiego), od 1912 wykładała etnologię na uniw. oxfordzkim (była pierwszą wykładowczynią w dziejach tej uczelni), londyńskim i bristolskim. W latach 1914-15 prowadziła badania terenowe na Syberii, jako uczestniczka wyprawy naukowej, finansowanej przez uniwersytety w Oxfordzie i Filadelfii. W szczególności badała kulturę Tunguzów u ujścia rzeki Jenisej i kulturę Samojedów. Prace na ten temat przyniosły jej duże uznanie choć miała kłopoty z uzyskaniem stałej posady. Problemy te wraz motywami natury sentymentalnej spowodowały jej samobójczą śmierć. Patrz D. Collins i J. Urry, *A flame too intense for mortal body to suport*, „Anthropology Today” 1997, vol.13, no 6, s.18-20. W roku 1998 ma zostać wydana czterotomowa edycja *Collected Works* Czaplickiej przez Curzon Press.

<sup>33</sup> Roger Fry (1866-1934), brytyjski historyk i krytyk sztuki. Malinowski przyjaźnił się z jego siostrą.

<sup>34</sup> Westermarck (1862-1939), socjolog, filozof i antropolog, wykładał na uniwersytecie w Helsinkach i Londynie. Malinowski w czasie swych studiów w LSE pracował pod jego kierunkiem.

<sup>35</sup> Nieoceniona pani Otolia tak tę wizytę wspominała: „Nastał dzień wielki, gdy Conradowie z chłopcami przybyli do Londynu i zamieszkali u nas. – Byłyśmy obie z moją irlandzką gospodynią pełne obaw i niepokoju, czy dogodzimy tak miłym, rzadkim gościom? – Mieszkanie, choć szczupłe, dało się urządzić dość wygodnie. Goście zajęli dwa pokoje na piętrze, nie przeczuwając, że gospodarstwo mieszczą się z trudem na kanapkach na dole. – Zajmowaliśmy podówczas jedno z tych wygodnych, umeblowanych 'apartamentów', urządzone wyjątkowo niebanalnie przez artystę malarza. – W czarnym saloniku, pełnym barwnych plam, przyjmowałam upragnionych gości z biciem serca młodej i niedoświadczonej pani domu”, Zubrzycka, op. cit., s. 141

<sup>36</sup> Jan Lewiński (1885-1930) ekonomista. Studiował w Antwerpii, Londynie, Berlinie, Brukseli (gdzie się doktoryzował) i Lipsku. W 1912 przedstawił cykl wykładów w L.S.E., które ukazały się drukiem pt. *The Origin of Property*, London 1913, po polsku w „Ekonomiście”. W 1913 podjął próbę habilitowania się na jej podstawie w UJ. Próba ta nie powiodła się mimo pochlebnych opinii. Po wojnie pracował jako prof. ekonomii na kilku polskich uniwersytetach.

<sup>37</sup> Robert Mond, jak pisał w *Podziękowaniach* na wstępie *Argonautów Zachodniego Pacyfiku* sam Malinowski: „umożliwił mi tę pracę przyznając mi przez pięć lat (1914 oraz 1917-1920) Stypendium Podróżne im. Roberta Monda (Uniwersytet Londyński) w wysokości 250 funtów rocznie”

<sup>38</sup> Pudełko było potrzebne Witkacemu na farby, gdyż obawiał się, że w tropikach zjedzą mu je mrówki.

<sup>39</sup> Andrzej Strug (1871-1939), prozaik i publicysta, działacz socjalistyczny i niepodległościowy w latach 1907-14 przebywał w Paryżu, gdzie wstąpił do PPS-Frakcji Rewolucyjnej i uczestniczył w pracach Związku Strzeleckiego, członek POW.

<sup>40</sup> Dagoba to typ monumentalnego relikwiarza buddyjskiego występujący na Ceylonie (odpowiednik indyjskiej stupy)

<sup>41</sup> Witkacy musiał być rzeczywiście w fatalnym stanie, bo 2.VII.1914 napisał list do „Władcy Ceylonu” wyjaśniający powody swego planowanego samobójstwa: „Po utracie mojej narzeczonej, która popełniła samobójstwo, przed czterema miesiącami chciałem się zabić. Moja rodzina doradziła (!) mi udanie się w podróż. Mój przyjaciel (jeden z dwóch moich najlepszych przyjaciół) wybierał się właśnie na Nową Gwineę z wyprawą naukową. Był tak uprzejmy, że do sumy, jaką rozporządzałem, pożyczyci mi pięćdziesiąt funtów szterlingów i zabrał mnie ze sobą w bardzo złym stanie psychicznym, na skutek czego miał wiele kłopotów. On był tak dobry jak najlepszy brat. I jest mi bardzo przykro, że jestem zmuszony popełnić wobec niego taką niegodziwość i opuszczam go w jego niebezpiecznych wędrówkach. Ja jednak widzę, że podróżowanie zamiast poprawić mój stan sprawia mi okropne cierpienie, ponieważ fakt, iż ja mogę oglądać piękne rzeczy, których Ona nigdy nie zobaczy, czyni mnie w najwyższym stopniu nieszczęśliwym. Jeszcze bardziej niż byłem poprzednio. (...) Proszę wybaczyć mój okropny angielski” S.I. Witkiewicz, *Listy do Bronisława Malinowskiego*, s. 77-78

<sup>42</sup> Artykuł ten pt. *Z podróży do tropików*, ukazywał się w częściach w piśmie „Echo Tatrzańskie” dopiero w 1919 roku (nr 15-18). Przyjaciele musieli na gorąco wymieniać wrażenia bo oba teksty są do siebie bardzo podobne (przynajmniej w warstwie opisowej).

<sup>43</sup> Osoba, o której mowa pochodziła ze znanej australijskiej rodziny przyrodników: Albert A.C. Le Souef był dyrektorem Ogrodu Zoologicznego w Melbourne. Trzech jego synów kontynuowało te zainteresowania: Dudley odziedziczył stanowisko ojca i pisał książki o przyrodzie australijskiej; Albert prowadził ZOO w Sydney; Ernest (1869-1937), który gościł Malinowskiego, był dyrektorem Ogrodu Zoologicznego w Perth.

<sup>44</sup> William John Dakin (1883-1950), zoolog. Wykładał w Belfaście, Liverpoolu i Londynie, w 1913 otrzymał tytuł pierwszego profesora biologii na nowoutworzonym Uniwersytecie Australii Zachodniej. Był także doradcą rządowym.

<sup>45</sup> Durack, tak nazywała się duża rodzina farmerów-pionierów, którzy pierwsi rozpoczęli hodowlę bydła na wielką skalę w zachodniej Australii.

<sup>46</sup> Chodzi zapewne o specjalne wydawnictwo z okazji kongresu British Association for the Advancement of Science, którego członkami w 1914 roku stali się obaj podróżnicy. Mieli z tego powodu bezpłatne bilety kolejowe w Australii podczas trwania zjazdu. Patrz, L. Paszkowski, *Malinowski i Witkacy w Australii*, „Wiadomości”, Londyn 1972, nr 41, 43/44

<sup>47</sup> Alfred C. Haddon (1855-1940), „ojciec antropologii w Cambridge”, z wykształcenia zoolog, prowadząc badania przyrodnicze nad cieśniną Torresa doszedł do wniosku, że bardziej pilne jest badanie tamtejszych krajowców. Następną wyprawą (1898) miała już charakter antropologiczny i uczestniczyli w niej m.in.: W.H.R. Rivers, C.S. Myers, W. McDougall, C.G. Seligman.

<sup>48</sup> Sir Oliver Lodge, wybitny fizyk, zainteresowany także problematyką psychologiczną, opublikował także szereg prac usiłujących połączyć religijny i naukowy punkt widzenia. Od 1900 był rektorem uniwersytetu w Birmingham.

<sup>49</sup> Fritz Gräbner (1877-1934), etnolog niemiecki, wybitny przedstawiciel podejścia kulturowo-historycznego w etnologii. Z wykształcenia historyk. Razem z B. Ankermanem twórca koncepcji kręgów kulturowych. Nigdy nie przeprowadził badań terenowych. Gdy znalazł się w Australii na zaproszenie rządu australijskiego, wybuch I wojny świat. uniemożliwił mu prowadzenie badań, gdyż został internowany i wypuszczony dopiero w 1919 r. Jednak wykorzystał ten czas na studia, porównując mity ludów indo-europejskich, mongolskich, polinezyjskich i hamicko-semickich, a także badając kalendarze starego i nowego świata.

<sup>50</sup> Firma „Burns, Philp and Co. Ltd” między innymi obsługiwała linię parowców z Australii do Nowej Gwinei a także prowadziła tam rozległe i interesy. Malinowski zapewne chciał kupić u nich bilet na statek do Port Moresby.

<sup>51</sup> Alfred Reginald Radcliffe-Brown (1881-1955) jeden z najwybitniejszych antropologów pierwszej połowy XX wieku, współtwórca współczesnej antropologii „społecznej” jako generalizującej nauki teoretycznej. Pierwotnie chciał studiować w Cambridge nauki ścisłe, ale jego tutor, entuzjasta Frazera, skierował zainteresowania swego ucznia w kierunku „nauk moralnych”. Istotne znaczenie miały także kontakty z Riversem, Haddonem i Myersem. W latach 1908-14 był członkiem Trinity College w Cambridge.

<sup>52</sup> Elton Mayo (1880-1949), twórca socjologii i psychologii przemysłowej. Połączył zainteresowania psychoneurwicami i „myśleniem obsesyjnym” z antropologicznym podejściem do kultury i struktury społecznej B. Malinowskiego i A.R. Radcliffe-Browna. Jeśli chodzi o metody badawcze zaadaptował metodę wywiadu psychologii klinicznej do antropologicznych badań terenowych i zastosował je w badaniach organizacji przemysłowych.

<sup>53</sup> Prawdopodobnie chodzi o Johna Douglasa, który był specjalnym komisarzem Brytyjskiego Protektoratu Nowej Gwinei (1886-1888). Tak przynajmniej twierdzi autor przypisów do *A Diary*...

<sup>54</sup> Józef Litwiniszyn był kolegą gimnazjalnym Malinowskiego i jego bliskim przyjacielem. Studiował górnictwo w Leoben w Austrii. Korespondowali ze sobą przez kilka lat (listy Malinowskiego w posiadaniu prof. Jerzego Litwiniszyna).